№ 18. Piątek, dnia 29 Stycznia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 17 (29) stycznia 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

Z TEKI
Jana Chęcińskiego

I.

Szczęście i ja.

Szczęcie i ja, dwie obce dla siebie istoty,
Czarna chmura i słońca promień szczero-
[złoty,
Są — ale nigdy razem nad sekundę dłużej,
Burza zabiera słońce, słońce resztki burzy.
Tak i mnie... czasem... czasem... w mroczne
[życie spływa,
Przelotna, błyskawiczna chwileczka szczę-
[śliwa,
Zjawi się i ucieka... duszy nie upieści,
Tylko silniej zaostrza poczucie boleści.

II.

Homo sum.

Nie, nie! ja nie mam duszy anioła,
Ni do Chrystusa podobnej twarzy —
Ja mam tęsknoty chmurę u czoła,
Serce co kocha — i myśl co marzy.

* * *

Nie mam poloru grzecznisiów świata,
Co w swój *takt* kryją szpony lamparcie
Z mej piersi słowo gromem wylata,
Pieszczę serdecznie — gryzę otwarcie.

* * *

Nie znam pół-uczuć — jak dnia w pół-
[świcie,
Cukrowym fałszem nie strzelam celnie,
Gdy kocham — kocham na śmierć i życie,
Gdy nienawidzę — to też śmiertelnie.

* * *

Gdy błąd mój — łzę mi wydrze z pod po-
[wiek,
Sprawcą złej doli, świata nie robię—
Płaczę bo cierpię — błądzę bom człowiek,
Cierpię bom zgrzeszył — znam winę w so-
[bie.

* * *

Jam taki — takim kochać mnie trzeba,
Jeśli współczucia rozkosz mnie czeka —
Nie szukam w ludziach przymiotów nieba,
I w sobię czuję — tylko człowieka.

Z DZIENNIKA LEKARZA.

Jakkolwiek nie tak wiele lat dzieli mnie od wypadku, będącego przedmiotem niniejszego opowiadania, wiele z osób, które w nim miały udział, nie żyje; żyjący zaś pozwolili mi podać do druku opis zdarzenia, w którem mała rola i na mnie też szczególnem zrządzeniem Opatrzności przypadła.

Zamiast piórem nienawykłem do literackich zajęć kreślić moję opowieść, wolę po prostu przepisać niektóre ustępy z kartek, gdzie niegdyś wpisywałem wrażenia młodości, a które zakończyłem w późniejszym już wieku opisaniem owego zdarzenia.

* *

*12 Stycznia 18** r.*

. . . .

Karetka pocztowa toczyła się zwolna po szosie; zmrok był kiedyśmy wyjeżdżali z Warszawy, noc ciemna, kiedyśmy w Tarczynie stanęli. Wszedłszy do izby pasażerskiej zastałem tam wiele osób, już to czekających na tylko co przybyłą karetę, już na omnibus, który za parę godzin miał tamtędy do Warszawy powracać. W chwili gdym się zbliżył do pieca, aby rozgrzać zziębłe członki, dolecieały uszu moich słowa rozmowy, półgłosem wprzawdzie, ale dość żywo prowadzonej.

— Biedna dziewczyna, co ona tam robi teraz.....

— Kończy toaletę, hrabina próżnować nie lubi, i pragnie, aby Helenka w tym karnawale bawiła się jak najwięcej....

— Nietęga zabawa, kiedy kto przy niej łzy połyka...

— Dajże mi pokój, proszę cię!

— Ależ na miłość boską Paulino co ty masz przeciw niemu? Chłopiec zacny, majętny, przystojny... a wreszcie Helenka go kocha.

— Powtarzam ci, że nie było przykładu, aby kobieta była szczęśliwą idąc za popędem pierwszej miłości.

— Bajka Paulino, jak mi Bóg miły bajka! Toć i ja nie dzisiaj się urodziłem....

Mimowolną powodowany ciekawością odwróciłem się.

Z drugiej strony pieca, przy stoliku, siedział staruszek siwy i przygarbiony, pełen tego wyrazu powagi i szlachetności, jaki często opromienia twarze starców—obok niego kobieta, mogąca mieć lat przeszło 40, oczu czarnych, greckiego nosa, ust kształtnych i wyrażających taką pewność siebie, jakby z nich nic nigdy prócz rozkazu nie wyszło.

Zaledwom zdążył przyjrzeć się tej parze, i z pochwyconego urywku rozmowy do jakichkolwiek przyjść wniosków, gdy dwie nowe postaci ukazały się w progu. Jedna z nich był to jegomość średniego wzrostu, okrągłej twarzy ozdobionej jasnemi blond wąsami, w wysokich butach podpasanych przy kolanach rzemieniami, krótkiej siwym baranem obłożonej czamarze—druga, była to jakaś mała figurka, owinięta ogromnemi szopami; nad podniesionym kołnierzem sterczała wysoka futrzana czapka. Skoro kołnierz odwinął, poznałem w nim mojego dobrego znajomego pana Adolfa Okszę, literata, o którym wiedziałem, że w tych stronach na wsi przebywał u jakiegoś bliskiego kuzyna.

Pan Adolf obejrzał się po sali a spostrzegłszy mnie stojącego przy piecu, przybiegł natychmiast, i serdecznie się ze mną przywitał. Zwróciło moję uwagę, że przechodząc około owej pary, zatrzymał się, i uprzedzającym powitał ją ukłonem. Po kilku zwykłych zapytaniach i odpowiedziach zagadnąłem go, co to za jedni ci państwo, którym się przed chwilą ukłonił.

— Pan Kalikst Słuszkowski z żoną — dlaczego.

— Tak sobie.

— Pan Słuszkowski z żoną—powtórzył—obywatel z Radomskiego; byli niedawno w Warszawie, następnie odwiedzali syna, który tu niedaleko gospodarzy na dwóch wioskach; teraz powracają do domu. Nie spodziewałem się ich jednak spotkać, sądziłem, że już dawno te strony opuścili.

— Mają córkę—rzekłem.

— Mają—dlaczego?

— Tak sobie.

— Skądże pan wiesz, że mają córkę?

— Bo przed chwilą o niej rozmawiali.

— Właśnie, kilka tygodni temu, odwieźli ją do Warszawy, do ciotki, gdzie zwykle karnawał przepędza.

— Doprawdy—czy ich już tak wiele przepędziła?

— Gdybyś ją pan znał, tobyś się o to nie pytał.

— A to dla czego?

— Jest to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu mojem widziałem: blondynka z czarnemi oczyma i postawą królowej.

— Panie Adolfie—rzekłem, gdyby nie to, że przed sześcioma laty byłem na pogrzebie twojej trzeciej żony, mógłbym cię o coś posądzić.

— Nie dla starców takie kwiatki—odparł nieco smutnie, dla nich trzeba gorętszego serca, ale gdyby mnie Pan Bóg taką był córką obdarzył, uważałbym to za największe szczęście życia. Zaintrygowany nieco ową piękną panną Heleną, o której stary literat tak sympatycznie się wyrażał, opowiedziałem mu rozmowę państwa Słuszkowskich, tak jak ją przed chwilą usłyszałem. Staruszek pokiwał głową, jakby w tem nic nowego dla niego niebyło, a spuściwszy oczy w ziemię, mocno się zamyślił.

— Znasz pan sbliska państwa Słuszkowskich—zapytałem.

— Znam—odrzekł—za życia mojej drugiej żony mieszkałem od nich o granicę, bywaliśmy tam często. Nieboszczka moja Domicela była z domu Działyńska, a pani Paulina ceni wysoko rekomendacyą nazwiska; przytem jak pan wiesz, ś. p. Domicela miała dar podobania się, i maniery wielkiego świata—pokochały się więc bardzo, i często się odwiedzały. Po jej śmierci jednak, zajęty gospodarstwem mało gdzie bywałem. Gdym się później ożenił, moja ś. p. Ludwika, nie miała ochoty przedstawiać się pani Słuszkowskiej, którą jakkolwiek szanowała, z opinii i z widzenia ją znając, nie czuła do niej najmniejszego pociągu. Skłoniłem ją nareszcie, że mi się pozwoliła przedstawić w Borkowej Woli, lecz pani Paulina chłodno ją jakoś przyjęła, a jakkolwiek oddała nam wkrótce wizytę, nieboszczka nie starała się stosunku tego utrzymać, później też, zmuszony do sprzedania mojej rodzinnej wioski, zamieszkałem w Warszawie, gdziem pochował moję ostatnią towarzyszkę życia, tak też stosunki moje z państwem Słuszkowskiemi znacznie się osłabiły.

W tej chwili wszedł konduktor i oznajmił nam, że karetka jest nieco uszkodzoną, i że wymaga reparacyi, na którą musimy czekać. Zewsząd objawiło się niezadowolenie wobec tak nieprzyjemnego wypadku, i to zaraz na drugiej za Warszawą stacyi zdarzającego się, ja jednak mniej od innych niekontent byłem z tej zwłoki, dającej mi sposobność dłuższego pomówienia z panem Okszą, i dowiedzenia się czegoś o pannie Helenie i jej nieszczęśliwej miłości, która mnie już bardzo zajmowała.— Więc pan znasz naturalnie i pannę Helenę? zapytałem.

— Jeśli pan taki ciekaw — rzekł uśmiechnąwszy się staruszek, to mogę panu wytłómaczyć rozmowę państwa Słuszkowskich, którą przed chwilą słyszałeś, z zastrzeżeniem jednak abyś tego co się dowiesz niepowtarzał nikomu. Jakkolwiek bowiem w całej tej sprawie niema nic, coby jaki bądź cień na charakter panny Heleny rzucało, podobne jednak wypadki podawane z ust do ust, pospolitują imię kobiety i mnożą plotki. Otóż, jak wiesz z rozmowy państwa Słuszkowskich, panna Helena kocha pewnego młodzieńca w brew woli matki, która opierając się i prośbom córki i życzeniom męża, zupełnie na ten związek się niezgadza; otóż, powiem ci nadto, że miłość ta trwa już przeszło lat cztery, pomimo gniewu matki i perswazyi starej ciotki hrabiny Tarłowej, mieszkającej w Warszawie — gdzie Helenka każdą prawie zimę przepędza.

— Któż jest przedmiotem tej miłości?

— Niejaki pan Władysław Poraj, obywatel z okolicy i sąsiad jej rodziców.

— Czy zasługuje przynajmniej na miłość, którą obudził.

— Najzupełniej, i kochają wzajemnie z podobnąż stałością. Było to przy mnie, gdy wobec całego licznego dosyć towarzystwa, zapewniał słowem uczciwego człowieka, że jeżeli nieotrzyma ręki Heleny, żadnej innej nie będzie kochać kobiety.

W tej chwili zbliżył się do nas ów jegomość w siwej czamarze, krewny pana Adolfa, i powiedział mu, że już ułatwił interesy, jakie mieli na poczcie i że czas powracać do domu. Pan Adolf przedstawił mnie krewnemu i zapytał:

— Czyś pan bardzo ciekaw szczegółów owej miłości?

— Ależ nadzwyczajnie.

— W takim razie, rzekł obracając się do pana w siwej czamarze, muszę cię prosić, abyś się zatrzymał cokolwiek i pozwolił mi skończyć opowiadanie, które przed chwilą zacząłem.

— Kiedy tak, rzekł przybyły, to ja tymczasem załatwię parę interesów, jakie mam na mieście. Wolę nawet uczynić to teraz, niż później umyślnie za niemi do miasta przyjeżdżać. Poczem pożegnał nas i wyszedł, a jakkolwiek bardzo miłe na mnie zrobił wrażenie swoją fizyognomią serdeczną i obejściem pełnem prostoty, szczerze byłem rad z jego oddalenia się i zapytałem:

— Więc ten pan Władysław.

— Pan Władysław odpowiada swojej wybranej wszystkiemi niemal przymiotami ciała i umysłu. Śliczna bo też byłaby z nich para. Jakkolwiek bowiem nie mogę powiedzieć, aby młody człowiek był skończoną pięknością, co u mężczyzny zupełnie jest zbytecznem, posiada on przecież rysy regularne i pełne męskości a suty wąs i hiszpanka przy wysokim wzroście i pięknej postawie, robią go w całem słowa znaczeniu urodziwym mężczyzną.

— I czemuż matka panny nie pozwala na ten związek?

— Pani Słuszkowska jest już za drugim mężem; pierwszym był pan Artur Ryński, rzadkiej urody człowiek, którego też ona szalenie kochała. Niedługo jednak cieszyła się nim, nie spełna bowiem we dwa lata po ślubie, zapadł na ranę, którą kiedyś w pojedynku otrzymał, i umarł. Będąc w uniwersytecie berlińskim miał zajście z panem Ryszardem Porajem w jakiemś publicznem miejscu. Młodzi i prędcy, nietrudno też między nimi przyszło do wyzwania. Strzelali się gdzieś w okolicach Belina, Ryński otrzymał ranę w bok a Ryszard Poraj w ramię. Upadli obaj, Poraj jednak w tej chwili przyszedł do przytomności, a widząc krew zalewającą piersi kolegi, przybiegł do niego, uklął, błagał o przebaczenie. Pan Artur jednak na drugi dzień dopiero odzyskał przytomność. Zobaczywszy klęczącego ze łzami w oczach przy łóżku swojem młodego Ryszarda, podał mu rękę i dozgonną przyrzekli sobie przyjaźń. W kilka miesięcy Ryński przyszedł do zdrowia, bladość jednak nie znikała z jego twarzy, i złowrogi kaszel nie chciał go opuścić.

Doktorzy kazali mu wyjechać do Włoch i Sycylii. Ryszard nieodstępował przyjaciela, pojechał z nim razem, i dzięki jego troskliwości Ryński zupełne prawie odzyskał zdrowie. Lekarze zakazali mu pracować umysłowo, powrócił więc do rodzinnej wioski i zaczął gospodarzyć. Wkrótce poznał sławną w okolicy z piękności pannę Paulinę, zakochał się i ożenił. Ryszard zapewniwszy się o zdrowiu przyjaciela wyjechał do Berlina dla dokończenia studyów. Wkrótce jednak był znów w drodze do kraju, wezwany listem Artura, aby przybył do niego coprędzej. Za przybyciem zastał siedzącego w fotelu w ogrodzie; ale dawna bladość powróciła na piękną twarz, na zapadłych policzkach ujrzał dwa okrągłe małe rumieńce, które nigdy nie zwiastują wesela.

W parę miesięcy później Ryński konał na rękach przyjaciela, wyrzucającego sobie jego śmierć i zalewającego się łzami. Omdlałą żonę wyniesiono prawie z pokoju chorego

---

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

— Podobno jakiś przedsiębierca podejmuje się urządzić filtry przy wszystkich kranach warszawskich wodociągów. Woda dostarczana nam przez wodociągi, będące jedynem źródłem miękkiej, zdatnej do gotowania wody, zwykle bardzo mętna, w chwilach najmniejszego przyboru Wisły, staje się tak zanieczyszczoną, iż ciężar jej gatunkowy budzi niepewność czyśmy w wodzie pogrążyli areometr. Wziąwszy kroplę takiej wody pod mikroskop, oprócz mnóstwa piasku, przedstawiającego się w kształcie brył kamieni, zobaczymy w niej miliony potworów, których wielkość pod mikroskopem i połowy milimetra nie dosięga, ale których ilość jest dostateczna, abyśmy jednocześnie z herbatą, pili rosół z wymoczków. Doprawdy, trudno pojąć, jak tej Warszawie ciężko się zdobyć na jaki taki porządek. Uskarżamy się na brak czystego powietrza podczas lata, na trujące wyziewy wydobywające się ze ścieków ulicznych, na olbrzymie kałuże wody stojące na ulicach, po każdym większym deszczu, a nie zdobędziemy się na to, aby raz do skutku doprowadzić od tylu lat powzięty zamiar skanalizowania miasta. Używaniem wody wiślanej w tym stanie, w jakim dostarczają jej wodociągi miejskie, nie reperujemy sobie bynajmniej żołądków, a jednak nie możemy się wziąć do tego, aby odpowiednio urządzić filtry przy wodociągowych zbiornikach wody. Filtry istniejące przy rezerwoarach, nie są dostateczne dla należytego oczyszczenia wody, urządzenie odpowiednich filtrów wymagałoby przebudowania dotychczasowych rezerwoarów, co pociągnęłoby za sobą koszta dosyć znaczne, lecz mniejsze w porównaniu z kosztem urządzenia filtrów przy każdym kranie zosobna, które w każdym razie byłyby środkiem tymczasowym. Zresztą, w jaki bądź sposób, mając czystą wodę, czulibyśmy wielką wdzięczność dla tych, którzyby to uczynili. Zaopatrzywszy Warszawę w czystą wodę i urządziwszy od tak dawna oczekiwaną kanalizacyą, z góry jesteśmy przekonani, że ogłoszenia na rogach anticholerycznego postępowania, okazałyby się zbytecznemi, a może coroczny koszt urządzania oddziałów dla cholerycznych, koszty jakie ponoszą rząd i gminy na zakupywanie lekarstw dla niezamożnej ludności i t. p. wydatki, podczas trwania każdej epidemii nieuniknione, choć w części amortyzowałyby kapitał wydany na te konieczne ulepszenia. Tymczasem żaś, radzimy czytelnikom naszym zaopatrywać się w filtry, jakich za niską cenę dostarczają nam tutejsi mechanicy.

---

i ratowano w przyległym salonie. Zaledwo ostygło ciało zmarłego, wszedł służący i oznajmił panu Ryszardowi życzenie wdowy i zebranych krewnych, aby natychmiast opuścił jej dom, gdyż pani nieżyczy sobie ani chwili pozostawać pod jednym dachem z zabójcą zmarłego męża. Z sercem pełnem bólu opuszczał Ryszard dom przyjaciela i śpieszył do Berlina, aby pracą zagłuszyć zgryzotę i wyrzuty budzące się w jego duszy, ani czas jednak, ani praca niezatarły w pamięci smutnych wrażeń. Skończywszy uniwersytet powrócił do kraju i na prośby matki ożenił się. Wspomnienie jednak przyjaciela nieopuszczało go ani na chwilę. W cztery lata po ożenieniu stracił matkę, którą kochał do ubóstwienia. Za wiele było ciosów, aby je znieść mogło czułe serce Ryszarda, poszedł też wkrótce za matką, ciesząc się na śmiertelnem łożu, że się niedługo zobaczy z nią i z przyjacielem, którego śmierć nieustannie sobie wyrzucał.

Pod wpływam bolesnych wrażeń, jakich doznawałem słuchając opowiadań starego Okszy, zapominałem o pannie Helenie i jej miłości; myśl biegła koleją smutnych wypadków, które on znał tak dobrze i z taką dokładnością w opowiadaniu swoiem przedstawiał.

— Niedługo jakoś po śmierci Ryrzarda— ciągnął dalej pan Oksza, urodził się syn, którego zmarły ojciec tak bardzo pragnął. Dano mu imiona Ryszard Władysław, że zaś matce trudno było wołając na syna ciągle ze wspomnieniem zmarłego męża się spotykać, nazywała go drugiem imieniem, które też do dzisiaj w ustach rodziny i znajomych pana Władysława pozostało.

— A! pan Władysław, zawołałem mimowoli, przypominając sobie cel opowiadania pana Okszy, do którego on tak powoli zmierzał. Opowiadający jednak, nieważając na mój wykrzyknik, tak dalej mówił:

— Otóż Ryszard Władysław wyrósł na pięknego mężczyznę i pewnego wieczoru na jakimś wielkim balu w Warszawie poznał pannę Helenę, córkę pani Pauliny z jej drugiego związku z panem Słuszkowskim, siedemnastoletnią wówczas panienkę, która tam wraz z hrabiną Tarłową, ciotką swoją się znajdowała; starał się być przedstowionym hrabinie i otrzymał jej zaproszenie. Po kilku miesiącach Władysław i Helena, związani byli słowem, a wkrótce też zakochany młodzieniec, pod nieobecność rodziców, ciotce się oświadczył. Hrabina odpowiedziała, że zezwolenie w tej mierze nie do niej lecz do rodziców panny należało i na prośby zakochanego, bardzo przychylny list w jego interesie do państwa Słuszkowskich napisała. Pani Tarłowej przez myśl nie przeszło, aby pan Władysław, jakkolwiek to samo nosił nazwisko, miał jaki związek z tak nienawistną dla jej kuzynki familią Porajów; a o zdarzeniu, które dwadzieścia z górą lat temu miało miejsce prawie zapomniała. Jakże więc zmieszać ją musiał list Pauliny, zaklinający ją na wszystko co ma drogiego, aby młodemu Porajowi wstępu do domu wzbroniła i tę nieszczęśliwą miłość jak najprędzej zerwała. Hrabina lubiła dorodnego Władysława, niemogła się więc zdobyć na oznajmienie mu tak smutnej nowiny, obawiając się jednak wymówek krewnej, powierzyła komuś z zaufanych uprzedzić zakochanego młodzieńca o trudnościach, jakie spotkać ma na drodze do urzeczywistnienia swoich serdecznych nadziei. Dumny z natury Władysław, dowiedziawszy się tym sposobem o całej treści listu pani Słuszkowskiej, pierwszy bywać przestał, i z sercem rozdartem, do wioski swojej wyjechał.

Obejrzałem się, w tej chwili; pani Paulina siedziała jak poprzednio czytając jakąś książkę, mąż jej drzemał wsparty na stole. Uczułem wstręt pewien do tej kobiety, tak długo a niesłusznie chowającej w sercu uczucie nienawiści i dla niej poświęcającej może życie swojego jedynego dziecka.

— Jednakże, ciągnął dalej pan Oksza, jak mi to później sam opowiadał, przekonał się Władysław, że uczucia tego pokonać nie potrafi; pragnął koniecznie zobaczyć Helenę a przynajmniej kilka słów od niej otrzymać. Niechciał przyjechać do Warszawy i szukać spotkania bojąc się narazić Helenę na gniew matki, a siebie może na jaką bolesną niegrzeczność; pozostał więc w domu, przemyśliwając nad środkami jakiego kolwiek z ukochaną swoją porozumienia. W tym celu posłał do Warszawy starego lokaja, który służył jeszcze u ojca a później i jego samego piastował, z poleceniem, aby bądź co bądź do panny Heleny Słuszkowskiej zbliżyć się usiłował, i wręczył list z zachowaniem całej, w sprawie tego rodzaju koniecznej, ostrożności. Gdy stary Maciej przyjechał do Warszawy, dowiedział się od służby, z którą łatwo zabrał znajomość w pobliskim szynku, że hrabina właśnie jednego jeszcze potrzebowała lokaja. Zgodził się tam więc i w tydzień już uszczęśliwiony Władysław otrzymał odpowiedź na swój list od kochającej go zawsze Heleny. Stary Maciej urządził tak roztropnie korespondencyą swego pana z panną Heleną, że młodzi ludzie mogli rozmawiać z sobą listownie, niebudząc bynajmniej podejrzenia osób, którym pani Paulina poleciła czuwać, aby córce nic przypominać niemogło, nienawistnego jej konkurenta. Wyobraź pan sobie, piąty rok się zaczyna, jak ten stan rzeczy trwa bez żadnej zmiany.

— I bez żadnej nadziei?

— Bez najmniejszej. Tymczasem, panniela ta biegną i zdrowie znika a matka pana Władysława, gdym ich ostatni raz widział, mówiła ze łzami, iż niepamięta kiedy widziała uśmiech na ustach swego kochanego syna.

— To okropne!

— Zapewne.

— Nikczemna kobieta, zawołałem z oburzeniem.

Pan Oksza spuścił oczy i mocno nadepnął mi na nogę. Obejrzałem się, pani Paulina utkwiła w niego wzrok niespokojny, jakby chciała odgadnąć przedmiot naszej rozmowy Szczęściem w owej chwili wszedł pan w siwej czamarze i oznajmił, że już wielki czas wsiadać na bryczkę, gdyż wyjechali w południe a woźnica ani ziarnka obroku dla koni z domu niezabrał. Pan Adolf i jego kuzyn pożegnali mnie serdecznie, uważałem, że pierwszy rad był usunąć się z pod badających spojrzeń pani Słuszkowskiej, skłonił jej się bardzo grzecznie i poszedł ku drzwiom, ja też odprowadziłem ich aż do bryczki.

Wyszedłszy na ulicę usłyszeliśmy tuż za miastem głośną trąbkę ekstrapoczty, a przy samym skręcie na szosie bryczka minęła się z powozem zaprzężonym parą pocztowych koni. Przy blasku jego latarni ujrzałem jeszcze postaci pana Adolfa i jego towarzysza na oddalającej się bryczce. Za chwilę powóz zatrzymał się przed stacyą. Służący, który obok pocztyliona siedział na koźle, zsiadł z całym pośpiechem, na jaki mógł się zdobyć, przy długich białych włosach spadających na szyję z pod czapki i otworzył drzwiczki. Z powozu wysiadł mężczyzna owinięty granatowemi niedźwiedziami, i wysadził damę, której twarzy niemogłem w ciemności zobaczyć; podał jej rękę i śpiesznie wprowadził do sieni. Gdy otworzył drzwi od sali pasażerskiej, ujrzałem ich twarze, przy świetle, jakie stamtąd wpadło przez otwarte drzwi do sieni oświecając ich postacie. Był to młody jeszcze człowiek, blondyn, z wąsami i hiszpanką, bardzo regularnych rysów twarzy — towarzyszka jego mogła mieć cokolwiek więcej jak 20 lat. Pomimo bladości i zasłoniętego materyalnym kapturem czoła, dostrzedz było można, iż musiała być bardzo piękną. Co mnie jednak zastanowiło, to ślady łez w czarnych jej oczach, które dziwne na mnie robiły wraże-

---

Będąc przed kilku dniami na wystawie Tow. Zachęty sztuk pięknych, mimowoli przyszło nam na myśl, iż zdanie: dużo powołanych a niewielu wybranych, sprawdza się tutaj w całem znaczeniu. Malowideł w złoconych ramach dużo, ale obrazów... niewiele, zatrzymujemy się przed jednym i drugim obrazkiem ni etyle zastanawiając się nad nim, ile nad ceną, a jeszcze więcej nad kartkami znamionującemi zakupienie go do rozlosowania. Musimy przyznać, iż Towarzystwo, z bardzo małym wyjątkiem, nie zadaje sobie trudu z wyborem i robi go jak to mówią, aby zbyć z głowy kłopot; toć obok tych samych obrazków spostrzegamy obrazy, których zakupienie do rozlosowania mogłoby zachęcić artystę do dalszej pracy, a publiczność do zapisywania się na członków. Dziś niejeden z tych ostatnich patrząc na obrazek, który mu się losem dostać może, pomyśli sobie, co ja z tem będę robił jeżeli wygram?... Kwestya ta dość często poruszaną była przez prasę, której wszystkie uwagi są grochem na ścianę, może być dlatego, iż zwykle są robione po dokonanym już wyborze, a komitet przystępujący następnym rokiem do nowego wyboru, miał już czas o nich zapomnieć. W sali rzeźby, dominuje gipsowy model, do pomnika Śniadeckiego i pomnik Moniuszki. Pierwszy wykonany przez p. Kucharzewskiego, przedstawia nam w naturalnej wielkości postać znakomitego męża. Wykonanie przepyszne, na twarzy widać głęboką myśl wyrytą; szczegóły wykonane z wykończeniem. Pomnik ten ma zdobić salę posiedzeń Warszawskiego Tow. Lekarskiego. Co do pomnika Moniuszki, tego wspaniałego dzieła dłuta Godebskiego, zapytujemy tych, od których to zależy, dlaczego do tej pory pomnik ten nie został pomieszczonym w której z naszych świątyń. Nie wiemy zaiste jaki jest powód i co daje prawo do zapomnienia, iż co niedziela jego melodye podnoszą dusze wiernych i rozlegają się pod sklepieniami świątyń całego kraju.

Odczyty pięciokopiejkowe, cieszące się wielkiem powodzeniem w przeszłą zimę, w roku bieżącym znowu zostały wznowione. Że tego rodzaju odczyty mają prawdziwą wartość i mogą odnieść pożądany skutek, dowodzić dzisiaj nie mamy potrzeby. Roztropnie wybrany przedmiot i umiejętnie opracowany, zawsze potrafi zająć publiczność i nauczyć ją tego, czegoby się z książek niełatwo nauczyć mogła. Pan Makowiecki, niezmordowany pracownik na tem polu, mówił o stowarzyszeniah rzemieślniczych i rzecz swoję opracował sumiennie. Mała ilość słuchaczy zbierająca się na odczyty, traktujące o kwestyach społecznych i przeciwnie, dar przyciągania, jaki posiadają prelekcye z nauk przyrodzonych, świadczy, iż publiczność mniej interesuje się pierwszemi i daje wskazówkę, jakie tematy obie-

nie, przypominając uderzająco jakieś podobieństwo. Podróżny zatrzymał się, jakby sobie co przypomniał, a trzymając jednę rękę na klamce na wpół uchylonych drzwi izby pasażerskiej, obrócił się i zawołał:

— Macieju!

W tej chwili stary lokaj wszedł do sieni.

— Daj im tam na piwo, żeby jak najprędzej konie przeprzęgali, rzekł młody człowiek, poczem zrobił ruch ku otworzeniu drzwi, które na wpół uchylił.

Szalona napozór myśl przyszła mi do głowy. Ten blondyn wysoki z wąsami i hiszpanką, ta młoda osoba, z zapłakanemi czarnemi oczyma—ten stary Maciej, na którego rzuciwszy wzrok, ujrzałem na wielkich guzikach hrabioską koronę, nad wyraźnie wyciśniętą literą T.—zestawione z opowiadaniem pana Okszy, pod którego wrażeń świeżym znajdowałem się wpływem—wszystko to powiadam nasunęło mi szaloną myśl: to jest Władysław i Helena. Niewiedząc co robię, rzuciłem się ku nim, a przytrzymując drzwi:

— Przepraszam pana, rzekłem, za moję śmiałość, czy wolno zapytać się ogodność?

— Moje nazwisko?

— Tak, pańskie nazwisko.

— A to poco, usłyszałem za sobą głos starego lokaja.

— Z przyjemnością zaspokoję pańską ciekawość, niech mi pan tylko pozwoli wejść; to mówiąc usiłował otworzyć drzwi.

Ja z mojej strony przytrzymałem je mocniej.

— Panie! co to ma znaczyć? rzekł młody człowiek.

— Błagam pana, powiedz mi swoje nazwisko.

— O... o... o... poco... poco?....

— Niech mu pan niepowiada, dał się słyszeć stary Maciej.

Staliśmy naprzeciw siebie wzajemnie się sobie przyglądając, gdy wreszcie młody człowiek bez gwałtowności ale z mocnem zniecierpliwieniem starał się dzwi otworzyć, ja itym razem silniej je od niego przytrzymałem.

— Co panu zależy na tem—żeby mi niepowiedzieć swego nazwiska?

— To pan powinieneś mi się wytłómaczyć.

— To jakiś waryat, mruczał mu za uchem Maciej.

Młody człowiek obejrzał się na niego i na wpół się uśmiechnął, jakby potakując wnioskowi, czem ośmielony stary lokaj przyskoczył do mnie i przytrzymując mi ręce zawołał:

— No — no! No i cóż—no i cóż — czego trzymasz?...

W tej chwili kilka osób w izbie pasażerskiej zwróciło uwagę na niezwykły ruch, jaki się w sieni słyszeć dawał: spojrzałem tam, pani Paulina znajdowała się o trzy kroki od nas. Teraz dopiero pojąłem całą nieumiejętność mojego znalezienia się.

— Pan Władysław Poraj! zawołałem przytłumionym głosem, całą siłą opierając się na drzwiach.

— No to i cóż z tego, krzyknął stary Maciej gwałtownie mnie odpychając.

— Odejdź! rzekł do niego młody człowiek surowo.

Stary puścił mnie, ze zdziwieniem na swego pana spoglądając. Spostrzegłszy, że kilku pasażerów zbliżyło się do drzwi zamknąłem je, i rzekłem z cicha:

— Znajdujesz się pan o kilka kroków od państwa Słuszkowskich.

Niepotrzebowałem tego drugi raz powtarzać, gdyż młody człowiek nie zważając na krzyk, jaki jego towarzyszka wydała, szybko wyprowadził ją z sieni. W tej chwili drzwi od izby pasażerskiej otworzono, na progu ukazało się kilku mężczyzn, którzy spostrzegłszy mnie i starego Macieja zaczęli się nam z uwagą przyglądać.

— Co to jest? zapytał jeden

— Nic, odpowiedział spokojnie Maciej.

— Co się tu działo?

— Co się miało dziać—nic się niedziało.

Widząc niemożność zaspokojenia swojej ciekawości, gdy nadto zgłębi pokoju dały się słyszeć życzenia, aby zamknięto drzwi, bo zimno, panowie ci powiódłszy jeszcze wzrokiem po całej sieni, i niespotkawszy prócz mnie i starego lokaja nic interesującego, zamknęli drzwi, zostawiając mnie sam na sam z Maciejem.

Wybiegłem na ulicę; kilku ludzi przy latarni naprawiało zepsutą pocztową karetę, dwaj inni zakładali konie do powozu. Pomimo iż księżyc jasno oświecał ulice małego miasteczka, niespostrzegłem nigdzie Władysława i jego towarzyszki.

— Gdzie poszli państwo co tym powozem przyjechali? zapytał Maciej pocztyliona.

— Tam w ulicę, odrzekł, pewno do oberży.

Pobiegliśmy z Maciejem we wskazaną stronę, i wkrótce ujrzeliśmy się blizko drzwi prowadzących na cmentarz kościoła. Zdało mi się, że słyszę głos jakiś na cmentarzu; pobiegłem ku furcie i usłyszałem ze łkaniem wymawiane słowa:

— Puść mnie, ja im padnę do nóg—na miłość boską—Władysławie!

— Heleno uspokój się! za parę dni razem padniemy im do nóg, lecz wtedy, kiedy złączeni będziemy w obliczu Boga węzłem, którego uprzedzenie matki nie będzie mogło rozerwać.

— O nie mów nic na moję matkę, ona mnie tak kocha.... a ja niewdzięczna córka, uciekam od jej opieki—w brew jej woli, o ja występna!...

— Heleno uspokój się, ona nam przebaczy.....

— Nie—nie—ona mi nie przebaczy nigdy, ona przeklnie wyrodną córkę!

— Heleno, mówił Władysław, po którego głosie można było poznać, iż tłumił łzy cisnące, się do gardła, Heleno uspokój się—czy mnie już nie kochasz wcale?

— O mój Władysławie—ty sam pogardzisz kiedyś żoną, która splamiła nieskażone imię rodziców.... O! puść mnie—puść do matki—ona mi jeszcze przebaczy.

Maciej, który dotąd stał przy mnie i mocno się niecierpliwił, chociaż po przyśpieszonym oddechu i łzach spadających, po zmarszczkami pokrytych policzkach, znać było iż mocnemu ulegał wzruszeniu — otworzył spiesznie furtkę wszedł na cmentarz—a ja przez otwarte drzwi ujrzałem Władysława, który mając pełne oczy łez podtrzymywał opartą na jego ramieniu i gorzko płaczącą Helenę.

— O Boże, Heleno! uspokój się, mówił Władysław. O ja nieszczęśliwy!

— Matka—moja matka, powtarzała Helena, ona mi nie przebaczy!

Maciej nie mógł dłużej wytrzymać, a wychodząc z cienia i przybliżając się śpiesznie ku nim:

— Co to pani gada, rzekł, czy to małżeństwo nie od Pana Boga, czy co?

Helena drgnęła usyszawszy obcy głos i z trwogą spojrzała na starego Macieja.

— A, Maciej, rzekł Władysław, cóż tam na stacyi?

— A nic, konie już pewno zaprzężone, możnaby jechać, to by i lepiej było....

— Idź czem prędzej, wsiądź i każ tu zajechać pocztylionowi—a gdzież ten pan?

— A tu jest, odpowiedział Maciej obracając się ku furtce.

— Gdzie?

Wszedłem nie bez zmięszania i dość niezręcznie ukłoniłem się. Władysław serdecznie ścisnął mi rękę. Maciej pobiegł po konie.

— Wybawco nasz, rzekł do mnie, musisz mi kiedyś opowiedzieć, jakim trafem Bóg cię zesłał na ocalenie mojego szczęścia.

Uważałem, iż niechciał mnie o nic pytać, aby niepowiększać wspomnieniem rodziców, wzruszenia biednej Heleny.

---

rać należy. W ogólności publiczność liczniej pospiesza na te odczyty, przy których spodziewa się zobaczyć jakieś doświadczenie chemiczne, obrazy niknące, lub coś podobnego, i chociaż może treści odczytu dokładnie nie pojmie, ani też nie zrozumie prawdziwego znaczenia niejednego z doświadczeń, opuszcza jednak salę zadowolona więcej tem co widziała, niż tem co słyszała. Niejedna kwestya społeczna popularnie opracowana, łatwiej da się zrozumieć, jak odczyt z fizyki, chemii lub mechaniki, który przy najprzystępniejszem opracowaniu, nigdy nie jest w stanie dokładnie nauczyć.

Dotąd przemawiali pp. Makowiecki, Wójcicki, Głowacki i Jankowski, odczyt tego ostatniego z „dziedziny botaniki", dla przyczyn wyżej wzmiankowanych, zebrał dużo płci pięknej, która się zawiodła, gdyż musiała słuchać o organach odżywiających u roślin, przedmiotu umiejętnie traktowanego, ale niestety, nieurozmaiconego żadnym woskowym figielkiem.

Badania i spostrzeżenia atmosforyczne w naszym kraju w ogólności na bardzo niskim stoją stopniu. Oprócz Warszawy, która posiadając Obserwatoryum astronomiczne pod tym względem nie ustępuje zagranicy—badania tego rodzaju na prowincyi zupełnie prawie są nieznane. A jednak, tabela porównywająca wilgoć powietrza, jego części składowe w różnych porach roku i w różnych miejscowościach, średnią ilość spadłych deszczów i t. p., byłaby nie tylko ciekawą, ale i pożyteczną tak dla nauki jak i dla kommisyi sanitarnych. P. Strzyżowski w artykule zamieszczonym w N-rze 15 16 Wieku, zatytułowanym: „Ozon i ozonometrya", wykazawszy pobieżnie znaczenie ozonu w atmosferze, podaje sposób wymicrzenia ilości jego zawartych w powietrzu. — Podobne wyliczenie prowadzi p. S. od pewnego czasu w Piotrkowie, a spostrzeżenia swoje notuje na tabelce, którą podaje jako wzór. Na tabelce tej oznacza datę, temperaturę przeciętną z dnia, wysokość barometru, wilgoć powietrza, kierunek wiatru i nakoniec ilość ozonu.—P. S. zachęca osoby miłujące naukę, ażeby wolne od zajęć chwile czasu, poświęcały podobnym badaniom, które razem wzięte dałyby możność oznaczenia klimatu i stanu atmosferycznego w całym kraju. My ze swojej strony podzielając zdanie p. S. w tym względzie, w tej chwili ograniczamy się na powtórzeniu tej myśli naszym czytelnikom zamieszkałym na prowincyi—zamawiając sobie możność pomówienia obszerniejszego o tej kwestyi na innem miejscu.

Od Nowego Roku czasopismo humorystyczne „*Mucha*" ukazuje się w nowej sukience, w której co prawda bardzo jej do twarzy. W tekście humoru nie brak, a nieraz nawet

W tej chwili rozległ się chrapliwy głos trąbki pocztarskiej, Helena mocniej załkała; nagle wyrwała się z objęć Władysława i chwyciwszy obiema rękoma moję, zapytała:

— Czy i ojciec mój jest tam także?

— Jest pani, odpowiedziałem.

— O panie! zawołała Helena ściskając mi gwałtownie rękę, idź do niego i błagaj, aby tu przyszedł, on nam przebaczy.

— Panie, dodał błagająco Władysław; powiedz....

Biegnąc do stacyi minąłem starego Macieja; gdym wszedł do sali pasażerskiaj wszyscy zabierali się do wsiadania, pani Paulina wychodziła właśnie, a za nią postępował zamyślony staruszek; zbliżyłem się do niego i z cicha, tak aby on tylko mógł mnie słyszeć:

— Czy wolno, rzekłem, prosić pana o chwilkę rozmowy na osobności.

— A—a czego pan chce?

— Nic, rzekłem spokojnie, chciałbym tylko pomówić z panem, w przedmiocie bardzo go blisko obchodzącym.

— Czy to koniecznie na osobności?

— Koniecznie.

Spojrzał jeszcze raz na mnie, jakby się chcąc domyśleć, cobym mu miał do powiedzenia, potem zbliżając się do żony, rzekł:

— Paulinko!

Chciałem się usunąć, nie zdążyłem jednak, pani Paulina obróciła się ku nam.

— Mam tu do pomówienia z tym panem, zaraz powrócę.

Pani Słuszkowska zmierzyła mnie oczyma. Gdyśmy się usunęli w głąb izby pasażerskiej:

— Czybyś pan niechciał, rzekłem, poświęcić mi chwilki czasu i pójść w miejsce gdzie-bym o to prosił.

Pan Słuszkowski spojrzał na mnie pytająco.

— W interesie bardzo blisko pańskie uczucia obchodzącym.

Pan S. odstąpił o krok i patrzał na mnie, jakby wymagając lepszego objaśnienia.

— Pozwoli pan, iż teraz więcej mu nie powiem, powtarzam tylko, że jest to interes zbliska jego serce obchodzący. Sądzę, dodałem, iż ten interes wymaga, aby żona pańska nic o nim nie wiedziała.

Pan S. jeszcze o krok odemnie odstąpił, potem wahająco i jakby usiłując czegoś się domyśleć wyszedł — ja postępowałem za nim. Pani Paulina stała przy kareci między wsiadającymi i oglądała się niecierpliwie.

— Moja duszko, rzekł zbliżając się do niej pan S.—mam tu jeden interes, który wymaga, abym się na chwilę oddalił.

— Cóż to za interes?

— Nic..... opowiem ci zaraz, jak tylko powrócę.

Pani Paulina spojrzała na mnie z niezadowoleniem, staruszek zaś nieznacznie jakby pytając, w którą stronę iść mamy—później odwracając się do konduktora.

— Czy prędko jedziemy? zapytał.

— A jużby czas był dawno, ale połowa pasażerów siedzi w oberży.

Zwróciłem się w prawo, pan Słuszkowski postępował przy mnie. Z początku nic nie mówił, lecz zdawał się być mocno zamyślonym.

Później spoglądając mi w oczy zapytał:

— Gdzie my idziemy?

— Na cmentarz tego kościoła.

Spojrzał się na mnie ze zdziwieniem.

— Czybyś pan niechciał oszczędzając moję cierpliwość rozwiązać mi tę zagadkę?

Wtej chwili znaleźliśmy się przed furtką cmentarza—powóz Władysława stał przed nią zaprzężony. Otworzyłem furtkę i dałem grzecznie znak towarzyszowi swemu aby wszedł. Władysław i Helena rzucili mu się do nóg.

— Ojcze przebacz! wołała łkając Helena.

— Ojcze pobłogosław! wołał całując starca w kolana Władysław.

Przybyły, w pierwszej chwili słowa nie mógł przemówić.

— Gdzie ty ją wieziesz? rzekł w końcu przytłumionym głosem.

— Do Częstochowy—najdroższy ojcze, połączyć się z nią przed ołtarzem Matki Najświętszej, Bóg nas przeznaczył sobie.

— Na miłość boską—ucieczka—w nocy—potajemny ślub.

Helena leżała u nóg ojca, całując jego stopy i zanosząc się od płaczu.

Starzec podniósł ją, ale sam też łez wstrzymać niemogąc, głośnym wybuchnął płaczem.

— Dziecię moje, mówił starzec.

— Ojcze pobłogosław nas, błagał Władysław.

— Niech się dzieje wola boska — błogosławię.....

Władysław wziął Helenę pod rękę i zaprowadził przed drzwi wchodowe kościoła, gdzie oboje uklękli.

Starzec odkrył głowę, ukląkł także, a złożone ręce oparłszy na lasce wzniósł oczy w niebo i tak długą chwilę pozostał. Podniósł się wreszcie, a wyciągając ręce nad klęczącymi rzekł drżącym i uroczystym głosem:

— Boże błogosław dzieci moje, wspieraj je łaską Swoją w szczęściu i niedoli—więcej już niemógł mówić, z oczyma tylko utkwionemi w krzyż nad drzwiami kościoła przybity, zrękoma nad głowami klęczących wyciągniętemi modlił się z cicha.

Helena i Władysław schyleni szeptali słowa modlitwy.

Ja też mimowolnie zgiąłem kolano, przypatrując się tej grupie, która oświetlona blaskiem księżyca jeszcze więcej nabierała uroku. Obejrzałem się, Maciej klęczał, i sapiąc łzy rękawem obcierał.

Chwilę trwało uroczyste milczenie, chwilę starzec stał modląc się i błogosławiąc dwojgu klęczącym, później opuściwszy ręce:

— Dzieci moje, rzekł, ja jechać z wami nie mogę—i niemogę samej i bez opieki zostawiać matki waszej powiem jej o waszem połączeniu kiedy już przeszkodzić mu niebędzie mogła; wtedy ona zmięknie i pobłogosławi wam. A teraz jedźcie dzieci moje, niech Bóg czuwa nad wami.

Władysław i Helena raz jeszcze ucałowali kolana starca, poczem wszyscy wyszli z cmentarza. W tej chwili głos trąbki rozległ się po cichych ulicach małego miasteczka—nastąpiło pożegnanie.

— Władysławie, rzekł pan Słuszkowski całując go w głowę—znam cię i polegam na tobie, niech was Bóg prowadzi.

— Ojcze, rzekł Władysław bądź spokojnym; ciotka moja przyjechała umyślnie do Częstochowy, gdzie miała wszystko urządzić—do niej odwiozę Helenę, a nazajutrz w kaplicy Najświętszej Panny połączymy się nazawsze.

— Tak więc wszystko obmyśláłeś, rzekł starzec, uśmiechając się przez łzy, które spadały po jego wyżółkłych policzkach, poczem uściskawszy dzieci śpiesznie pobiegł ku stacyi.

Ja stałem w cieniu, przyglądając się tej scenie, teraz jednak uważałem, że mi wypada się usunąć, już to dla uniknięcia podziękowań, już też wiedząc, jak przytomność obcych ludzi w takich uroczystych chwilach życia uciążliwą jest i niemiłą. Władysław wsadził do powozu towarzyszkę oglądającą się za ojcem, poczem, jakby sobie coś nagle przypomniał, zwrócił się do Macieja siedzącego już na koźle i zapytał:

— A gdzie jest ten pan?

— A stoi tam, odrzekł stary i wskazał mnie stojącego pod murem cmentarza.

Władysław zbliżył się do mnie a ściskając mi obie ręce, rzekł:

— Wiem dobrze, jak wiele panu mam do zawdzięczenia.

— Byłem tylko narzędziem Opatrzności.

---

zdarza się dowcip prawdziwy, iskrzący. Główną jednak nowością i zaletą pisma, są rysunki, których daje dużo i zawsze pełnych werwy. Ostatnia stronica illustrowana w sposób dotąd u nas mało znany szczególnem cieszy się powodzeniem. Z trzech numerów można już mieć wyobrażenie o kierunku i sposobie prowadzenia pisma—dla tego więc cieszymy się, że *Mucha* unika dotykania osobistości w sposób zbyt drażliwy i nie przekracza zakresu poza który nawet humorystyka wdzierać się nie ma prawa. Idąc dalej tą drogą, *Mucha* zapewni sobie niewątpliwie trwałe powodzenie, którego jej szczerze życzymy.

Pierwszy zeszyt *Przeglądu Technicznego* który przed kilkoma dniami wyszedł na widok publiczny, dobrze wróży przyszłości tego pisma. Jestto organ, jak sama nazwa wskazuje, specyalny i tylko ludzi fachowych, bliżej interesować mogący. Dlatego też wstrzymujemy się dziś od bardziej wyczerpującej wzmianki, zaznaczając jedynie, że w pierwszym zeszycie spotykamy między innemi pracę rozpoczętą, traktującą o *Szkole rzemiosł*. Rzecz to dotycząca interesu ogólnego i z tego powodu wielce zajmująca, której dalszego ciągu oczekujemy z niecierpliwością. Pełną również interesu, nawet dla niespecyalisty, jest kronika bieżąca. Wydanie czyste i staranne, zaleca także nowe wydawnictwo.

Bale i koncerta — koncerta i bale, a wśród tych skromny jakiś odczycik — oto program ubiegłego tygodnia. Roztańczono się u nas serdecznie — na szczęście więcej zabaw odbywa się w domach prywatnych. Resursowe wieczory są mniej huczne, bal Tow. Dobroczynności nie miał także wielu uczestników. Lecz za to w gronach dobranych, w przyjacielskich kółkach, życie aż miło! Karnawał zabsorbował wszystko i z tego też powodu wyrażając się stylem kronikarskim — nic się u nas nie dzieje. W teatrze po „Nietoperzach“ (które mówiąc nawiasem ukażą się równocześnie w Moskwie i Petersburgu, a prawdopodobnie i w Berlinie) cicho i głucho, mówią o bliskiem „Krytyków“ wystawieniu. Akcyje opery włoskiej poszły znowu w górę — podwyszkę tę spowodowała p. de Cepeda, śpiewaczka z gardłem, szkołą, grą i czem chcecie. Mieliśmy to szczęście słyszeć ją kilka razy, a podobno p. Ciaffei nie ufając pierwszym primadonnom, ma ją na dłużej uwięzić... Cóż więcej—pytacie? Oto zapowiedź koncertu na rzecz rodziny po Zientarskim, zapowiedź filtrów przy wodociągach, zapowiedź rychłego wydawnictwa Pola, zapowiedź balu szpitalnego (!) i mnóstwo innych przyjemnych, niemniej w tym czasie właściwych — zapowiedzi.

— Zapewne, w każdym jednak razie oddałeś mi pan największą przysługę, jaką mi ktokolwiek mógł w życiu wyświadczyć, pozwól ofiarować sobie za to moję najszczerszą przyjaźń. Czy ją przyjmujesz?

— Takie ofiary nieodrzucają się, odrzekłem ściskając mu nawzajem ręce.

— Władysław Poraj.

— Leon.....

— Pomimo żem ci winien tyle, jednę jeszcze mam do ciebie prośbę: Oto abyś był obecnym najuroczystrzemu aktowi mego życia pojutrze o 10-tej z rana w kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze.

— Jeżeli tylko na to moje obowiązki pozwolą—odpowiedziałem.

Scisnął mi jeszcze raz ręce, poczem pobiegł ku powozowi, który natychmiast potoczył się szybko przez ulice miasteczka.

Stałem chwilę zamyślony, kombinując pojedyncze części tego zdarzenia, gdy nagle uwagi jakie sobie o niem czyniłem, przerwał sygnał trąbki pocztowej po raz ostatni wzywający opieszałych podróżnych. Pobiegłem ku stacyi—wszyscy pozajmowali już miejsca w karetce, pocztylion i konduktor siedzieli także na swoich, ostatni udzielał mi napomnienie za niepilnowanie się, dodając, że gdybym cokolwiek później przybył, karetka byłaby bezemnie odeszła. Wielu nowych pasażerów pozapełniało próżne dotąd miejsca; naprzeciw mnie siedział obok żony pan Słuszkowski, nietrzeba było wielkim być fizyonomistą, aby poznać, iż staruszek mocnemu przed chwilą uległ wzruszeniu. Starał się to jednak, jak mógł, ukrywać przed żoną, która wlepiwszy w niego swoje wielkie czarne oczy z ciekawością i zdziwieniem mu się przyglądała. Jakkolwiek unikałem spotkania jej wzroku, czułem jak i mnie tem samem co męża mierzyła spojrzeniem, pani S. prowadziła dalej badanie męża, staruszek tłómaczył się z udaną dobrodusznością.

— Nic to—kończył właśnie, interes dotyczący gospodarstwa, niechcę cię nawet nim nudzić.

— Gospodarstwa?

— Tak jest.

Moje przybycie przerwało dalszą rozmowę.

Po chwili pan S. rzekł trącając mnie laską w nogę:

— To pan mi dostawi ten owies?

— Niezawodnie.

— Owies, podchwyciła pani S., czy ci owsa zabrakło?

— Tak—moja duszko.

— A wszak go w tym roku masz podobno więcej jak zwykle, 40 korcy odstąpiłeś panu Jacentemu.

— To dla koni moja duszku — alež do siewu.

Nastąpiła chwila milczenia, karetka toczyła się prędko. Pan S. siedział zamyślony, ślady wzruszenia nie znikały z jego twarzy.

Wszyscy drzemali, za Grójcem i on podniósł kołnierz od futra, oparł głowę o wysłanie karety i zasnął.

Zacząłem teraz zastanawiać się nad tem co zaszło i widziałem w tem wyraźne zrządzenie boże. Władysławowi równie jak i pannie Helenie naturalnie przez myśl nie przeszło, aby w podróży, spotkać się mogli z rodzicami, którzy, jak mi to przed chwilą pan Oksza nadmienił, oddawna mieli tę stronę opuścić.

Jak osobliwszego trzeba było zbiegu okoliczności, abym ja na stacyi spotkał właśnie starego Okszę, i aby ten mi opowiedział całą ową historyą i to ze szczegółami, po których mogłem się domyśleć tożsamości osób, zupełnie mi dotąd nieznanych; a wtej chwili, kiedy Władysław miał wejść do izby pasażerskiej i ujrzeć się w obecności rodziców Heleny niemal wprost drzwi siedzących—znajdował się przy nich i wpadł na tak osobliwy domysł. Spostrzegłem teraz, iż było nierównie trafniej, odrazu pytając się Władysława o nazwisko, wymienić mu je—nie zaś chować to jako ostatni środek. Przytrzymanie drzwi jednak było trafnym i koniecznym krokiem.

(*D. c. n.*)

Kilka słów

O OBAWIE PRZYGOTOWANIA TESTAMENTÓW I NAUKOWEM OZNACZENIU TERMINU ŚMIERCI.

według Prof. Dra Bock'a

napisał **Stan. Woj. Łukowski.**

Przygotowanie testamentu zwlekają nie tylko osoby, które kierując się niedorzecznym przesądem, mniemają, że właśnie przez dopełnienie tej formalności sprowadzą sobie śmierć przedwczesną, — lecz i takie, co mimo poważnej choroby, spodziewają się, iż zdołają jeszcze w porę wydać swe ostatnie rozporządzenia. A tymczasem, człowiek może umrzeć w każdej chwili (wskutek wewnętrznych lub zewnętrznych przyczyn) i każda, napozór zupełnie lekka słabość, wbrew naszym i lekarza oczekiwaniom, może zakończyć się śmiercią.

Tak więc, sama już niepewność dnia i godziny zgonu, zarówno jak wzgląd na dobro bliskich naszemu sercu osób, których los, na wypadek naszej śmierci, pragniemy zabezpieczyć,—powinny nas skłonić do wczesnego spisania ostatniej woli, jeśli tylko posiadamy jakikolwiek majątek.

Ileż to razy zdarza się, że ludzie bogaci, których śmierci oczekują z upragnieniem niegodni spadkobiercy, pozostawiają w nędzy, najlepszych swych, poświęcających dla nich przez całe lata swą spokojność i zdrowie, przyjaciół,—jedynie dlatego, że owi bogacze nie postarali się zawczasu zrobić odpowiedniego testamentu. Że podobnie niesumienni i niewdzięczni ludzie, nie warci są nawet wspomnienia po śmierci, o tem nie ma co i mówić.

Wiele też osób, pozbawiając się dobrowolnie wszelkich wygód i przyjemności, zbiera za życia pieniądze wyłącznie dlatego, aby one mogły być po ich śmierci użyte, na założenie jakiejś filantropijnej instytucyi; z obawy jednak przyspieszenia sobie zgonu, przez sporządzenie stosownego testamentu, osoby te, odkładają pomienioną formalność do ostatniej chwili,—a gdy śmierć przyjdzie potem niespodzianie, albo jest poprzedzona utratą przytomności umysłu, nie mają już sposobności do wynurzenia swej ostatniej woli. Giną więc szlachetne zamiary, chybia swego celu majątek gromadzony z takim nieraz mozołem i zaparciem, dostając się najczęściej marnotrawcom lub osobom, co nań bynajmniej nie zasłużyły, a imię mogące być uwiecznionem w potomności, zaciera się wkrótce bez śladu.

Lecz nie dość jest przygotować zawczasu testament, potrzeba jeszcze i to koniecznie, aby on był zredagowany zgodnie z przepisami obowiązującego prawa i zachowany do chwili naszej śmierci w rękach osób, zasługujących na zupełne zaufanie. Dopełnienie bowiem pierwszego warunku, uwalnia od wątpliwości mogących powstać później przy tłómaczeniu naszej ostatniej woli; drugi znów, daje pewność, że wola ta, będzie ujawnioną i wykonaną należycie, w oznaczonym terminie. Warunkom tym czyni zadość najlepiej,—zeznanie testamentu urzędowne, przed właściwym rejentem. Kto powierza swój testament w ręce osób prywatnych, lub zachowuje takowy w swem biurku, czy w innej skrytce, ten ryzykuje bardzo przyszłość swych zapisobierców: gdyż pominąwszy przypadkowe zatracenie, zostających w podobnym zachowaniu testamentów, bywaja one nierzadko umyślnie niszczone, zwłaszcza, jeśli rzecz idzie o małoletnich sukcesorów.

Przechodzimy teraz do drugiego punktu, postawionego sobie przez nas zadania, mianowicie, do „*naukowego oznaczenia terminu śmierci*"—rozumiejąc pod tym tytułem, wskazanie naprzód chwili, w której przy danej chorobie, u osoby nią dotkniętej, powinna koniecznie śmierć nastąpić. Jest to właśnie śmierć tego rodzaju, którą umrzeć już było powinno wielu pacyentów, co dotychczas w pełnym rozkwicie sił i zdrowia, bawią się w najlepsze na tej ziemi. Jeden nawet z podobnych pacyentów, odgrywa rolę w pewnej znanej anegdocie, gdzie lekarz odzywa się do niego na balu, pragnąc uniknąć niemiłej dla siebie rozmowy: „Łaskawy panie! dla mnie już dawno umarłeś pan naukowo"... Poszło to zaś stąd, że lekarz ów, przed kilku miesiącami, nie wahał się naznaczyć rzeczonemu człowiekowi, podówczas ciężko choremu, tylko parę godzin życia. Co za okropna nieświadomość, przepowiadać napewno choremu termin śmierci! I co za niegodziwa potwarz, przypuszczać, że wykształcony lekarz, odważy się wyznać w oczy pacyentowi, że mu tyle a tyle czasu pozostało jedynie do życia, bez względu na całą nieludzkość, całe grubiaństwo takiego wyznania. Tylko szalbierze frymarczący zdrowiem i życiem ludzkiem, tylko niedowarzeni i zarozumiali lekarze, dla nadania sobie czczej powagi, rozrzucają wokoło siebie śmiertelne wyroki,—uczony zaś lekarz wie, że przy większej części spraw chorobowych, kiedy śmierć, napozór stoi już u łóża chorego, jeszcze jest możebnem, jeśli nie wyleczenie, to przynajmniej zupełnie nieograniczone przedłużenie życia. Tysiące przykładów, potwierdza rzeczywistość tego faktu; zanim jednak niektóre z nich przytoczymy, wypada nam nadmienić, że nawet chorzy, o wyleczeniu których już zwątpili i najsłynniejsi lekarze, przychodzą do zdrowia bardzo często pod opieką szalbierzy i homeopatów, dlatego mianowicie, że lecznicza siła przyrody, może usunąć zupełnie lub uczynić nieszkodliwemi, napozór nie dające się wyleczyć sprawy chorobowe. Lecz rozumie się, że szalbierz lub szarlatan, będzie się starał wyskać podobnie szczęśliwy obrót rzeczy, i przypisze go nie owej przyrodzonej sile, lecz swej osobistej genialności i użytym środeckom.

Być *sparaliżowanym*, rzecz zaiste bardzo nieprzyjemna,—a jednak, iluż to ludzi, dotkniętych paraliżem, i zostających w ciągu całych dni bez przytomności, po upływie kilku tygodni znów wraca do zdrowia, choć nawet nie puszczono im wcale krwi (w uderzeniu mózgowem czyli apopleksyi). W ogóle, przy wszystkich chorobach rozstrajających działalność mózgu i charakteryzujących się: bólem głowy, utratą przytomności, zamieszaniem w sferze zmysłów, majaczeniem, drgawkami i osłabieniem, nigdy nie należy tracić nadziei wyzdrowienia, szczególniej względem dzieci. Jeśli lekarze przy wielu cierpieniach mogą się omylić co do istoty, przebiegu i zejścia chorób, to najczęściej zdarza się to, przy cierpieniach mózgu. Stąd wynika, że tak często napotykane *rozmiękczenie mózgu*, prędzej znajduje się w wyobraźni lekarzy, aniżeli w mózgu pacyentów. A ileż to dzieci, przy tak zwanych *konwulsyach* (drgawkach), bynajmniej nie cierpi na zapalenie mózgu, chociaż przeciwko temu ostatniemu, nie żałują pijawek i kalomelu!..... *Gorączka nerwowa* czyli tyfus, podczas które-

go chory przez całe dnie a nawet tygodnie leży w zupełnej nieprzytomności, przyprowadza go nareszcie do takiego stanu, w którym, na swoje szczęście, nie może już on wcale połykać lekarstw, i wyciągnąwszy się na łożu, z niebijącym prawie pulsem, ledwo oddychając, zdaje się oczekiwać śmierci. Lecz mimo to, chory podobnie, czasami nie umiera, nawet wtedy, gdy tyfus złączony bywa jeszcze z zapaleniem płuc i odleżeniem się. Wówczas to, lekarz myśli, jak Mefistofeles: „und lässt's am Ende gehen, wie's Gott gefällt" (i nakoniec pozostawia wszystko woli boskiej). W większej części wypadków, byłoby daleko lepiej, gdyby lekarze tak myśleli, nie przy końcu, lecz na początku choroby.

Przy *suchotach płucnych*, kiedy już przepadała dość znaczna część płuc, i blady, plujący krwią pacyent, stał się podobnym do szkieletu, stojąc jak to mówią, jedną nogą w grobie,— cierpienie może się nagle powstrzymać (bez użycia wielorybiego lub psiego tłuszczu, wód salzbrunskich czy emskich, gimnastyki szwedzkiej i in.), a w zdrowiu chorego nastąpi taka zmiana, że chociaż nie opuszczą go niektóre dolegliwości, mianowicie: krótki oddech i kaszel od czasu do czasu,—jednak odzyska pełność ciała i wesoły humor, i długo jeszcze długo żyć będzie przyśpiewując sobie, a przytem otrzyma tę korzyść, że wiele innych wpływów chorobotwórczych przestanie być dlań szkodliwemi.

Chorzy na *wodną puchlinę* gotowi utonąć w swej własnej (wewnętrznej, płucnej) wodzie, niekiedy nagle wydzielają z siebie, bez użycia żadnych lekarstw, za pośrednictwem nerek i skóry (mianowicie z potem), tyle wody, że znów przychodzą do normalnego stanu, i bez względu na chorobę, której puchlina była tylko objawem, żyją jeszcze przez długi czas spokojnie. Dlatego, nabrzmiałych od wodnej puchliny nóg, nie należy koniecznie uważać za „sandały do podróży na tamten świat."

Przy różnych *zapaleniach*, szczególnie zaś przy zapaleniach ważnych narzędzi (organów), np. serca, płuc, mózgu,—z przyczyny znacznego rozszerzenia i natężenia choroby, nawet posiadający zimną krew i przezorny lekarz poczytuje wyzdrowienie chorego narzędzia za prawie niemożebne,—a tymczasem, nierzadko przyroda potrafi i tutaj usunąć zapalenie i następstwa tegoż, albo przynajmniej na pewien czas uczynić je nieszkodliwem.

Suchoty rdzenia kręgowego, (lecz prawdziwe, a nie te, jakiemi niekiedy młodzi ludzie dręczą siebie i lekarzy, czując, z wyrzutami sumienia ból w krzyżu i osłabienie w nogach) również często przechodzą same, zwłaszcza przy zachowaniu odpowiedniej dyety, nawet i wtedy, gdy przy połowicznem sparaliżowaniu nóg, funkcye organiczne znajdują się w zupełnym nieporządku. Niech przeto chorzy na wycieńczenie czyli owe suchoty, nie tracą nadziei wzmocnienia swych nóg i całego ciała, choćby lekarze, oczekiwali dla nich pomocy jedynie od wód Gasteinskich.

Gdyby lekarz zapragnął oznaczyć dokładnie chwilę śmierci, nawet przy najokropniejszych uszkodzeniach ciała, to i wtedy, przepowiednia jego byłaby często mylną, gdyż trudno uwierzyć, jakie to człowiek zdolny jest wytrzymać cierpienia; najlepiej przekonywają o tem, wypadki na polu bitwy. Kule armatnie odrywają nieraz ręce i nogi, piersi i brzuch zostają podziurawione bagnetem lub karabinowemi kulami, czaszka i twarz bywa posiekaną, jelita wychodzą na wierzch i t. d., a mimo to, ranny przychodzi nierzadko do zdrowia, chociaż odtąd staje się niezdatnym do służby i pracy na kawałek codziennego chleba.

Okazuje się więc, że lekarz nigdy nie jest w stanie oznaczyć dokładnie nawet w przybliżeniu, terminu śmierci, czy to osoby chorej, czy ranionej.

Korespondencya „Ogniska Domowego."

(z Zagranicy).

Lwów w styczniu.

Korespondent, to... fotograf. Zadaniem jego odtwarzać wierną, najwierniejszą kopię chwili, której dano mu być współczesnym. Retusz także doń należy, winien jednak zawsze o ile można oszczędnie go używać, nie zakrywając zbytecznie światła, lub też odsłaniając nadto gorliwie smutnych półcieni. Od skierowania aparatu, od ułożenia figur i przedstawienia tła, wiele tu zależy. Manipulacya ta zostawia się zwykle jego sumieniu, trudno bowiem redaktorskiej mości z odległych stron sprawdzać każdy choćby najdrobniejszy szczegółik.

Tak więc *anch'io sono-fotografo*, — a jako taki muszę dać sumienny obraz dnia i nocy; mówię nocy, zważywszy, iż żyjemy w dobie karnawałowej... Otóż karnawał, oto prawie hasło niniejszego czasu! Ciekawiście zapewne jak my się tu bawimy, jak przepędzamy epokę uciesze poświęconą? Odpowiedź krótka, nudno i—*pardonnez moi*—głupio.... Niechaj się nie zdaje przyzwoitemu czytelnikowi lub skromnie wychowanej czytelniczce, iż zapomniałem się cokolwiek używszy zbyt silnego i nie salonowego określenia... Broń mnie Panie od trywializmów i podobnie dosadnych orzeczeń—lecz tu mówię całkiem słusznie, bo co więcej całkiem przyzwoicie... Jak mi pióro miłe, głupia ta nasza zabawa! Dzieje się ona tak: wierni tradycyi bawić się musimy... I bawimy się lecz nie w kołach rodzinnych, w domowych ścianach, jeno na jakichś balach kosztownych, czczych i siarczyście ckliwych...... O wesołej, serdecznej pląsaninie w gronie przyjaciół lub rodziny, gdzie wystarcza perkalik, tużurek, fortepian i serdelek ani słychać.. Odzwyczailiśmy się od takich poczciwych zebrań, potrzeba nam szumu jedwabiów, fraka i białej krawaty, hucznej kapeli, lodów i szampana... Niebym może nie miał do zarzucenia gdyby kieszeń była po temu, lecz dziś przy nędzy, przy głodzie całego prawie społeczeństwa, takie fanaberye toć to grzech oczywisty i Bogu i ludziom rosądnym czyn nie miły..... Młódź, tak żeńska jakoteż i męska, nie umie się bawić inaczej—jej ideałem kadryl, lub walc przetańczony *coram publico*, na gładkiej szybie publicznej sali... Poczciwe mateczki ustroiwszy swe lale z największym wysiłkiem, garnirują potem ściany, patrząc jak tam w dali, płynie wśród tłumu wielbicieli, pierworodna...

Czy to zdrowe, czy piękne, czy mądre?....

Schlebiając gustowi ogółu poczęły tutejsze resursy urządzać minaturowne baliki, skąd zbytek i wszelaka strojność miała być wykluczoną... Nie udało się jednak—przesadna elegancya i wystawność po kilku wieczorach już się rozsiadła i odtąd panuje tu forma balowa... Parodyą jednak są maskarady w sali teatralnej. Wyobraźcie sobie tłum mężczyzn, nieraz dobrze usposobionych, otulonych w futra, dzwigających laski i kalosze, kilkadziesiąt kobiet mniej przyzwoicie ubranych, dwa lub trzy milczące domina, czterech amatorów krakowiaka lub polki—oto i lwowska maskarada... Konia z rzędem ofiarujemy temu ktokolwiek nas przekona, iż słyszał choćby jeden dowcip lub był świadkiem zręczniejszej intrygi... Próżnobyście żądali abym wam powiedział w jakim się tu celu przychodzi.... Myślicie co chcecie ta idyotyczna płątanina trwająca do czwartej rano nosi jednak nazwę maskarady, balu maskowego, czy też jak to mówią „*reduty*!"

A wobec tego szkicu niedokładnego, jak inaczej odpowiedzieć mamy na powyższe zapytanie o naszych zabawach? Spełniając jednak wiernie swój obowiązek winienem dodać, iż szereg publicznych balów rozpocznie dnia 26, bal akademicki, na dochód Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczów wszechnicy lwowskiej i czytelni akademickiej, po czem nastąpią: bal Towarzystwa muzycznego, Towarzystwa młodzieży handlowej, słuchaczów techniki, „Sokoła", Towarzystwa strzeleckiego i inne. Mamy także tańczyć w kostiumach na lodzie... Zdawałoby się więc, że nam wesoło....

Z balów przejdźmy do teatru.... Dzisiejsza dyrekcya (pp. Ładnowski, Hubert, Wolański) nie wiadomo z kolei która, także nie ma przyszłości. Panom tym nie zbywa na dobrej woli, brak im jednak rzeczy najważniejszych: energii, myśli przewodniej, no i pieniędzy! Artyści, możeby się znaleźli, lecz pod lichem kierownictwem dobre siły nawet marnieją..... Powiadają, że to tylko stan przejściowy i że wkrótce na ruinach obecnej dyrekcyi stanie inna silniejsza, dysponująca wszystkiemi potrzebnemi środkami..... Tymczasem wśród mnóstwa lichot francuskich i oklepanych oper dano nam: „Księcia Niezłomnego" Calderona w przekładzie Juliusza. Geniusz autora i tłómacza stworzył tragedyą jakich mało, lecz cóż z tego—nieudolna gra, oszpeciła przedziwne arcydzieło dramatu chrześcijańskiego. Jeden tylko p. Ładnowski odtworzył dzielnie charakter niezłomnego infanta; wyglądający nawet o nauczeniu się ról niepomyśleli.... Biedna publiczność! Lecz nie—odwołujemy słowo ubolewania, godząc się na zdanie Szylera iż: publiczność ma zawsze teatr jakiego warta!...

Pisząc o „Księciu niezłomnym" wspomnieć musimy o muzyce jaką doń napisał p. Henryk Jarecki, Warszawianin, zwycięzca na dwóch waszych muzycznych konkursach, muzyk o pięknej przyszłości. Krytyka, w ostatniej kompozycyi podnosi szczególnie marsza pogrzebowego. Jestto utwór rzadkiego talentu, poczęty w chwili istotnego natchnienia. Znawcy wyrażają się o nim z entuzyazmem. Część pierwsza marsza jest napisana na blaszane instrumenty, pomieścił w niej kompozytor kilka zatrzymań akordowych, które niepospolity sprawiają efekt. Prostota, powaga i oryginalność spływa tu razem. W drugiej części *As dur*, świeci piękny motyw i fraza śpiewna, zaczęta skrzypcami, skończona wiolonczelą. Góruje tu szlachetna melodya, odtwarzająca plastycznie boleść i tęsknotę. Niemniej znakomitą jest trzecia część *F mol*. Chlubne przyjęcie tego utworu p. Jareckiego winno zachęcać kompozytora do dalszej pracy.... Po muzyce do *Balladyny* gęśl młodego artysty milczała.... Dodajmy jednak na usprawiedliwienie iż codzienna, rzemieślnicza praca, (p. J. jest dyrektorem opery, operetki a nawet i baleciku, gdy się zdarzy), może najsilniejszy i najpłodniejszy organizm zabsorbować. W końcu przypominamy, iż Jarecki był ulubieńcem Moniuszki.

Jeszcze o muzyce.—Dyrekcya towarzystwa muzycznego, zawiadamia miłośników muzyki, iż rozpoczyna szereg wieczorków muzykalnych, trwających zwykle do lata. Dyrektor Mikuli, umie rzeczywiście pięknie układać programy i gromadzić celniejszych artystów...

A teraz do literatury! Gubrynowiczi Szmidt rozpoczęli wydawnictwo dzieł Krasińskiego; Richter, Pola.... Dwa pisma literackie pro-

sperują, zresztą cicho. Bardziej rusza się dziennikarstwo. Przybył nam nowy dziennik polityczny; zapowiadają także pismo brukowe *Kuryer lwowski*, coś w rodzaju *Kuryera warszawskiego*. Ukazały się: *Wieniec* i *Pszczółka*, dwa dwutygodniowe pisma ludowe z których jedno ilustrowane. Program poczciwy, współpracownikami: Anczyc, Gregorowicz, Sztarkel, Bełza, redaktorem Pieniążek Czesław nauczyciel szkoły realnej. Rękojmia to, że kierunek pisma będzie dobry i umiejętny. Wyszedł także numer *Bartnika postępowego*, dwutygodnika objętości arkusza w 8-ce, poświęconego pszczolnictwu i ogrodnictwu. Będą dodawane ryciny. Redakcyą objął profesor akademii dr. T. Ciesielski. Organ bardzo na czasie.

Żywo byliśmy zaniepokojeni słabością Aleksandra Fredry. Jest jednak nadzieja, iż 83-letni starzec żyjący w odosobnieniu od świata przyjdzie do zdrowia.

Przed chwilą doniesiono mi, iż Witold hr. Borkowski, młody i utalentowany autor kilku komedyi i dramatów zastrzelił się pod Lwowem. Hrabia zdawał się być dotkniętym od pewnego czasu melancholią i werteryzmem. *Tristis.*

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Powieść Mateusza Cholewy zdaje się odnosić do tych czasów, charakteryzując zarazem w ten sam sposób, jak my to czyniemy, usposobienie i czyny Słowian spółczesnych. „Opowiadał jakiś dostojnik (pisze Mateusz), że nieprzeliczonej mnogości tłumy niegdyś żyły tu,“ w Słowiańszczyźnie. Podobnie Skandynawią dla jej drużyn korsarskich daleko się zapuszczających zwano: „fabryką narodów“ (officina gentium), i wysławiano z mnogości mieszkańców. „Wszelako rozległość takiego państwa ledwo na równi z jedną włóką sobie cenili, tak dalece nie chciwość władzy, ani żądza posiadania ich popychała, ile energia męskiego ducha niemi owładnęła, aby lekce sobie ważyli wszystko prócz czynów odwagi, aby żadnych tam niekładli rozwojowi bohaterskich swych przymiotów. Cóżby to bowiem były za zalety, gdyby się dały jakowemiś ścieśniać granicami! Słowianie ci nawet przypisali sobie z mocy swych tryumfów obce granice. Nietylko bowiem zamorskie narody (więc w Skanii szwedzkiej i Norwegii) ale nawet i wyspy Marchii duńskiej podbili pod swą władzę.“ Te i następne słowa zdają się nawet odnosić, lubo pod zmienionemi nazwami, do sporów Haralda i Swenona, w których wziął udział Palnatoki.

„(Słowianie) zrazu pokonawszy w morskich potyczkach nieladajakie hufce Duńczyków następnie wmieszali się w wewnętrzne wyspiarzy rozterki, przywłaszczając sobie władzę nad zależnemi od nich ludami (Jomsburgiem), przyczem ich króla Kanuta, (Kamilto, Kaiko) w pęta biorą.“

Tu zdaje się, w podaniu, które z ust jakiegoś magnata polskiego Mateusz spisywał, pomięszały się dwa odrębne wypadki niewoli Haralda (985), i Swenona, jeden zaszły za rządów Mieszka-Lamberta I, drugi za jego syna. Powodem tej omyłki, być mogło wdanie się za każdym razem w sprawy duńskie książąt lacho-kujawskich, tym łatwiejsze, że na pograniczu państwa ich leżała osada korsarska od Dani zależna. W chwili wybuchnięcia sporów między Haraldem a Swenonem, naczelnik Jomsburga, Palnatoki, przychylny ostatniemu wyjednał sobie pomoc Mieszka-Lamberta, i tym sposobem wszedł w bliższe stosunki z rodziną Pastów.

Glorya czynów bohaterskich, otaczająca dzielnego korsarza, mimowoli działać musiała na umysł Ody. Mąż jej wiekowy, lubo jeszcze dzielnie w posługach Cesarza Otona III się spisywał, przy oblężeniu Braniboru nabawił się febry, i z takowej 992 roku umarł. Nic teraz niestało na przeszkodzie urzeczywistnieniu dawno może żywionych chęci. Z jednej strony chrześcijanka wzgardziła obyczajem skazującym wdowy na śmierć wraz z mężem; z drugiej korsarz własne prawo przeciw kobietom wydane złamał, ślubując Odzie. Niesłychać też już o Palnatokim w Jomsburgu—Za to Janowi XV Papieżowi Dago sędzia, Oda Senatorka z dwoma synami, bo trzeci Świętopełk Mieszkowic, zdaje się umarł tymczasem, czynią ofiarę z dziedziny Pastów, aby na wzór Jana bez ziemi króla angielskiego, odebrać ją później lennem od Rzymu i tą fikcyą prawną, chwiejną rzeczywistość poprzeć. Szeroko zakreślili granice. Źniziska, jak nazwano od jednej z gór Gniezno (Schinesghe), wraz z całą od tego miasta zawisłą krainą; ujścia Odry i samo jej koryto od ziemi Mikiczów, morze baltyckie aż po ujście Niemna zwane Rusią, dalej granicami etnograficznej grupy Lachów bez Przemyśla, Czerwienia, i Krakowa—oto kresy ziemi gnieźnienskiej, któremi Oda z Dagonem chciała zawładnąć.

Z tą darowizną udał się do Włoch konno syn Bryski lub Busklawa, jak żywociarz Sw. Romualda przerobił imię Lamberta-Mieszka. Spotkawszy się z założycielem zakonu kamedułów, został przezeń do mniszego stanu namówiony, a na znak ukończenia swej świeckiej wędrówki, podarował Romualdowi konia, na którym przyjechał. Uprzednio Lambert musiał jednak doręczyć akt wspomniany, bo oto czytamy w rocznikach, i w bulli papieskiej, że Mieszko syn Mieszka Lamberta i Ody, książę polski miał być obdarowany przez papieża koroną, o którą się starał przez „biskupa“ (sic) Lamberta, ale na skutek widzenia sennego, już przygotowana dla Mieszka korona, została przesłaną Stefanowi węgierskiemu. Starania te dla Mieszka robione zastosowano później do Bolesława-Magnusa w. r. 1000, zupełnie błędnie.

Gdy tak szybko pełzły na niczem w obczyźnie zamiary świeckiego znaczenia dla Ody synów, w Polsce ją samą wraz z niemi pasierbi z ich dzielnic wypędzają, być może nawet, że nietylko dwaj wysocy dostojnicy (Familiares) Odylen i Prybuwoj zostają oślepieni przez Bolesława i Władyboja ale nawet i Oda tegoż losu doznała, bo umarła ślepą. z Palnatokim nie wiemy co się stało. Ponieważ nie ma go w poczcie wygnańców ani oślepionych, być może, że poległ w walce z pasierbami, którzy pozbywszy się niemiłego rodzeństwa, wspólnie odtąd objęli rządy nad ojcowizną.

VI.

DUMNA ASTRYDA MIESZKOWICÓWNA.

Życie tej córki Mieszka-Lamberta I, upłynęło w większej części poza obrębem jej kraju. Mimo to podwójny i to wyższy ma ono dla nas interes historyczny. Z jednej strony bowiem, z pobytem Astrydy, inaczej zwanej Syrytą, w państwach Skandynawskich zadzierżga się nić ścisłych stosunków między Szwecyą, Danią a Polską, mimo dzielących te kraje fal Baltyku. Z drugiej strony, losy tej samej Astrydy dały powód do licznych baśni kronikarskich, które jak najdziwaczniej kojarząc prawdę z fałszem, bez braku mięszały sprzeczne osoby, lata i miejsca. Powiemy coś kolwiek o jednem i o drugiem.

Kiedy, i z jakiego małżeństwa Mieszka-Lamberta I, przyszła na świat Astryda, ciężko a może i zupełnie niepodobna jest odpowiedzieć. Charakter jej tylko bliżej znamy z przydomka, jaki jej daje pisarz islandzki Snorre Sturleson. Nazywa on mianowicie Astrydę Sögrid Storräda czyli dumną Sterradą, albo Astrydą. Wydana została za szwedzkiego królika Eryka „zwycięskiego“ (Segersälle), który wszedł (wedle Adama Bremskiego) z jej bratem Bolesławem-Magnusem w ściślejsze przymierze, a to celem skorzystania z rozterek, jakie wówczas w Danii panowały. Zrazu, jak widzieliśmy, trwały one między członkami rodziny panującej — więc między Haraldem sinym zębem (Blaatand) a Swenem widłobrodym (Tyngöskög) jego synem. Następnie ten ostatni ogarnąwszy władzę, jął prześladować chrystyanizm. Dało to powód do groźnych całości państwa wstrząśnień. Korzystają z nich szwagrowie książęta szwedzki i polski, i na czele flot połączonych, napadają na duńskie statki, w licznych je potyczkach pokonywają, i wieńczą dzieło zagarnięciem państwa Swenonowego.

Mateusz Cholewa, za którego tu opowieścią idziemy, donosi, że król zwyciężonych Duńczyków, popadł w ręce szczęśliwych najeźdźców. Zwie go kronikarz Canulto, Camilto, a nawet Canico. O ile się zdaje, zamiast imienia króla (Swenona), napisał Mateusz jego przydomek, skażony wymową lub pisownią (Tyng...), poczem dodaje: „Pokonanym dano do wyboru dwie propozycye:

Albo po wieczne czasy mają się uznać zobowiązanymi do poddańczych ciężarów, albo też zarzucając różnice męskiego stroju, włos po kobiecemu zapuszczać przyrzekną, na znak kobiecej zniewieściałości (ze się dali pokonać). Opierając się Duńczycy spełnić jedno z dwojga, muszą przystać na oboje.“

Mówiąc nawiasem, powieść ta ma barwę nieco fantastyczną; aczkolwiek pewien element rzeczywistości skandynawskiej tkwi w niej niezawodnie, obok klasycznych aluzyi i możliwego przeniesienia zniewieściałości jednego z następców Swenona na cały naród duński. W podaniach zaś skandynawskich, a zwłaszcza w prologu do edyktu króla longorbardzkiego Lotarysa (z 643 r.) znajdujemy obraz, określeniem tylko celu owego przebrania się mężczyzn za kobiety, różniący się od opisu Mateusza. Mianowicie wspomniony prolog opisuje przybycie późniejszych Longobardów, pod nazwą Winulów, ze Skandynawii do ziemi Wandali (to jest Wendów, Słowian). Najechani, zażądali od Winulów złożenia daniny lub rozprawy orężnej. Królowa tych ostatnich Gambata, i dwaj jej synowie Ibor i Alon przyjęli ochoczo wyzwanie. Ze swej strony książęta wandalscy: ambri (u Nestora obry? olbrzymy) i azi (po skandynawsku pół bogi) jęli błagać swych bogów, aby im dali zwycięztwo. Odpowiedź brzmiała dwuznacznie. Bożek tym przyobiecał tryumfy wojenne, których najprzód przy wschodzie słońca ujrzy. Zaczem Gambata z synami udała się w prośby do żony bożka o pomoc dla siebie... I jak zwykle, gdzie płeć piękna się wmięsza, tam wygrywają jej protegowani, tak i teraz odnieśli dank Winuli. Poleciła im bogini stawić się o wschodzie słońca, ze swemi kobietami. Te miały mieć włos rozpuszczony na około twarzy „nakształt brody...“ Gdy bóg się ocknął, i ujrzał tak przebranych zapytał: co to za długo-brode (longi bardae) — a bogini odparła: daj im

Patrz Dodatek.

zwycięztwo jakeś dał nazwisko... i tak się stało.

Przy sposobności, zwracamy uwagę, że wikingi północne zwykle nosili długie włosy, co im kobiecy pozór nadawać mogło. A właśnie Sweno, państwo swe straciwszy, siedem czy czternaście lat, jako korsarz błąkać się musiał po różnych morzach.

Mógł więc Mateusz i długowłose korsarskie cechy „widłobrodego“ Swenona mieć na myśli w swym opisie.— Cytata z prologu Rotarysa o włosach kobiecych na wzór brody męskiej ułożonych ułatwia wytworzenie się podobnej przenośni.

Po odniesionem zwycięztwie nad Danią przez połączonych sojuszem i krwi związkami książąt, po zwycięztwie wojennem, którego może właśnie zadatkiem były śluby Eryka lub Heryka z dumną Astrydą, nowy tryumf, znowu jej dzięki, spełnił się w jakiejś części Szwecyi.

Podobne zjawisko, jakie już miało miejsce nad Wartą i Wisłą, dokonało się teraz w Skandynawii, za sprawą kobiety. Bóg Klotyldy frankońskiej, Bóg Dąbrówki, Bóg Astrydy okazał się potężniejszym nad bogi Chlodewiga, Mieszka-Lamberta, Heryka. Z mlekiem jakby matczynem wyssawszy Astryda zapał apostolski, potrafiła nim skruszyć gruby pancerz zabobonów skandynawskich, i wyzwolonego już odeń małżonka oddać w ręce przybywającego z Polski pono biskupa. Z radością pisze Bruno kwerfurcki do króla Henryka II niemieckiego, z dworu Bolesława Magnusa, około 1008 r. „Biskup nasz z wybornym zakonnikiem Rodbertem którychem był posłał przez morze do Szwecyi, ochrzcili, dzięki Bogu, naczelnika jakiegoś Szwedów, którego małżonka już chrześcijanką była. Z królem siedem ludów chrzest przyjęło, za co inni oburzeni, chcieli ich ubić....“

Wspomnienie o tej apostolskiej w Szwecyi pracy polskich może duchownych, tak długo żywe było, że dość późny opis „cudów Ś. Wojciecha,“ o niej donosi, w zmienionej zaiste mocno formie, ale uwidomiającej mimo to stanowisko prozelityczne Astrydy. Czytamy w tych „cudach“ mianowicie, że jakiś książe pomorski — zamiast szwedzki — starał się o rękę córki Mieszkowej—bezwątpienia Astrydy. Atoli niewprzody celu dopiął, i ukochaną pojął za żonę, aż Ś. Wojciech go ochrzcił. Wstrzymujemy się z wnioskiem, by istotnie tak było, bo w najdawniejszych życiorysach wspomnianego apostoła i męczennika, o podobnym wypadku nie ma wzmianki.— Z spółczesnego zaś listu Brunona kwerfurckiego widać, że biskup chrzcił Heryka w Szwecyi nie na Pomorzu.

Legenda o Ś. Władysławie węgierskim, Szweda zastąpiła Węgrem, i jak najniekrytyczniej sprowadziła mniemanych synów Stefana (Wajca) I (później kanonizowanego) do Polski, każąc im uciekać przed zasadzkami swej macochy Gizeli. Pozostawiła ta legenda zalubiny Beli jednego ze Stefanowiczów, z córką Mieszka-Lamberta, bez zmiany, ale walkę katolicyzmu z pogaństwem zakończoną chrztem Szweda (lub też walkę z Danią) upostaciowała w zapasach pseudo-Beli z olbrzymem niemieckim. Ceną tego pojedynku — wedle wersyi tej — była Mieszkowicówna. U Długosza toż samo się opowiada, ale za czasów Mieszka II. Na Szlązku, przygody Astrydy i Eryka w nową szatę się przyoblekły.

Usunięto epizod erotyczny o tyle, że to małżonek przyciśnięty nędzą swej żony i dzieci wygnanych, szuka w walce rozpaczliwej końca opłakanej doli; scenę do Włoch przeniesiono gwoli istotnej walce z olbrzymem Alberta tyrolskiego 1158 pod Medyolanem, lecz na bohatera wystrychnięto Bolesława Wysokiego, syna Władysława II Krzywoustowicza. Zmiana ta tym łatwiej nastąpiła, że Jadwiga żona Henryka Brodatego, pochodziła z tegoż samego rodu co ów Albert, i z nią powieść familijna o walce z olbrzymem przybyła do Polski. Bolesław zastąpił Belę zbliżonego dźwiękami imienia.

Nie umiemy sobie wytłómaczyć, czemu inna wersya o przygodach Astrydy czepiła się gór świętokrzyskich, czyli łysych, choć może w podobieństwie imion Henryka albo Emeryka „jedynego“ syna Stefana Wajca I króla Węgier, i Heryka szwedzkiego, oraz w fakcie, że Heryk szwedzki jak Stefan węgierski byli pierwszymi chrześcianami w swych krajach, tkwi główne źródło przemianowania w legendzie, dziejów szwedzko-polskich na dzieje polsko-węgierskie. Bądź jak bądź, z kroniki Bogufały dowiadujemy się, że łysogórska pobożna fundacya datuje z czasów Krzywoustego — i jemu swój byt zawdzięcza. Wcześniej przeto jak w dwunastym wieku, niemogła na Łysogórze zjawić się relikwia Ś. Krzyża, której rzekomym dawcą miał być ów Henryk Stefanowy, „przymuszony“ mąż córki Mieszka-Lambeta I. Niesłychać też o uwiezieniu owej relikwi przez Tatarów ani w 1260 ani 1287 r. w których to latach dosięgali samej Łysogóry, i ją łupili. Dopiero w wieku XIV mieli ten krzyż lacki zabrać Litwini. A w tej wersyi, znów słychać o miłości, małżeństwie i chrzcie, będącym ceną tamtych. Słowem z przygód rzeczywistych Astrydy urasta herbowa legenda o rodzie Dębno, pod Łysogórą zasiedlonym, i... w końcu Bernatowicz pisze swoję powieść historyczną pod tytułem „Pojata.“

(d. c. n.)

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ III.

Kształcenie umysłu.

Dusza i ciało dziecięcia, rozwijają się w pierwszych pięciu latach jego istnienia nadzwyczaj prędko; my naszym ograniczonym rozumem, ledwo pojąć możemy, cały ogrom wrażeń, których tak małe stworzenie doznawać musi w każdej chwili. Kierunek więc nadany umysłowi w tym tak ważnym peryodzie życia, zostawia po sobie ślad niezatarty.

Cóż więc z tego wynika? oto należy się starać ażeby pierwsze wychowanie było dobre, praktyczne, połączone z miłością i doświadczeniem, a ręczyć można za dobry skutek.

Na czem więc zasadza się to kierownictwo? Naprzód, młode matki, uczcie wasze dzieci kochać, to jest kochajcie je same.

Nie myślcie ojcowie, że nasze słowa, do samych tylko matek się odnoszą? I wy ze swej strony, musicie dzieci wychowywać, i podwójny macie obowiązek żonom waszym i w tem dopomagać, i o dzieci wasze się troskać.

Jan Paweł nazwał swą książkę o wychowaniu dzieci „Lewana“ od imienia bogini, której starożytni składali ofiary, w celu uproszenia u niej daru miłości ojcowskiej dla dzieci.

Widać że i wtedy ojcowie w ogóle nie odznaczali się czułością, kiedy musiano wynaleść oddzielną boginię dostarczającą im tę cnotę— otóż wielki poeta tak się do ojców odzywa: „Pamiętajcie że ciężar wychowania tych młodych latorośli, nie do samych matek należy; i wy, powinniście żony wasze w tem wspomagać. Mówicie, że kraj, towarzystwa lub nauki, nie zostawują wam na to czasu, a odpowieźcie mi, gdzie prędzej owoce waszej pracy zbierać będziecie, jeżeli nie na dziatkach waszych. Jak chcecie, ażeby te małe istoty, przywiązanie wam okazywały, jeżeli je do siebie rzadko dopuszczacie, lub czas wolny od zajęć na nieznośnie długich napomnieniach spędzacie; napomnieniach nudzących, i przestraszających wasze dzieci, a wasze serca ku nim wyziębiających; i to się nazywa miłością? o mylicie się ojcowie, co kto posieje, to też zbierze! Siejecie w sercach dziatek strach i nieufność ku sobie, miłości ich nie zbierzecie i nie macie do niej żadnego prawa, boście jej im nigdy nie dali! Wychowujcie zatem wspólnie, a wychowacie dziatki lepiej.

Wesołość rodziców i niańki przeważnie wpływa na dziecię i usposabia je do niej — należy więc jak najwięcej rozwijać w niem to usposobienie, a usuną się tym sposobem kaprysy, zły humor, złość i ciągły płacz. Nie zwracajmy zbytecznie uwagi na krzyk dziecięcia, skoro mamy pewność, że wszystkie jego potrzeby są zaspokojone, a przestanie płakać, skoro spostrzeże iż nikt się nad niem nie rozczula.

Często rodzice rozpaczają, nad nieutulonym krzykiem dziecka.

Jeżeli spokojnie przy tem zachowywać się będziecie, z czasem, nawet bardzo prędko ta przykrość ustanie; jeżeli zaś dziecię spostrzeże, iż tym sposobem, to jest krzykiem, pozyska to wszystko czego żąda, i że płacz jego was smuci i niepokoi, wychowacie sobie małego tyrana, który wam szczęście zakłóci, skoro tylko nie zrobicie tego co zechce. Spokój rodziców, powinien zawsze przeciwważyć kaprysy dziecka. Powód płaczu powinien naprzód być poznanym, nim zadosyć uczynicie żądaniom jakie wyraża.

Płacz pochodzi też z upadnięcia, stłuczenia się i t. d. Wtedy pomaga często śmiech wesoły matki lub niańki, pokazanie ulubionej zabawki, lub pocałunek. Dziecię prędko zapomina o bólu, i dalej się wesoło bawi.

Drugi rodzaj płaczu bywa spowodowany chorobą. Tu również spokój i wesołość najwięcej go uśmierza, nigdy jednak nie należy zbytecznie pieścić dziecięcia, gdyż powracając do zdrowia, zechce mieć równe pieszczoty, a brak ich, może nawet na osłabione zdrowie, zły skutek wywrzeć.

Trzeci płacz pochodzi z pożądania jakiego przedmiotu.

Tu stałość rodzicielska, nieraz ciężką próbę przejść musi; ale pamiętajcie, nigdy nie ustępujcie małemu krzykaczowi. Żadnej kapitulacyi! Co raz pozwolicie, to powinniście zawsze dziecku dawać, a znowu zakaz powinien być stanowczym; nie dawajcie się nigdy zmiękczyć łzami. Naturalnie, mowa tu jest o rodzicach rozsądnych, i dzieci swe szczerze kochających, nie zaś o ojcach egoistach, o matkach nerwowych, i kapryśnych, których jednak tak wielka liczba istnieje.

Są matki, które nudząc się w towarzystwie swych dzieci, zakazują im wejść do swego buduaru, z obawy, ażeby dziecię nie splamiło jakiego przedmiotu, lub nie stłukło jakiego cacka.

Te panie więcej kochają swoje meble, jak dzieci—i zostawiają te małe istoty na ręku sług, a nie chcą ich trzymać przy sobie.

Odpowiedźcie mi łaskawe czytelniczki, kto wtedy wasze dzieci wychowuje? sługi czy też wy same? O, bezwątpienia, sługi... Gdyż

wierzcie mi, wydanie dziecka na świat, jeszcze nie nadaje wam prawa do jego miłości, wychowujcie je same i dobrze, miejcie o niem pieczę, okazujcie mu wasze przywiązanie, a wtedy dopiero, możecie liczyć na jego miłość. Umiałyście wydać dziecię na świat, umiejcież je wychować i uszczęśliwić, o ile to od was zależy, a wtedy tylko stanąwszy przed sądem Najwyższego, śmiało będziecie mogły przejrzeć wszystkie epoki waszego życia, z tą pewnością, żeście waszych obowiązków wiernie dopełniały.

Tyle o miłości rodzicielskiej; przejdźmy teraz do innych, a nie mniej ważnych spostrzeżeń.

Dziecię często płacze nad stratą jakiej zabawki, ze złego humoru, lub ze strachu.

W pierwszym razie, mała pieszczota, pokazanie jakiego przedmiotu, zajęcie go czemś interesującem, uśmierza wybuch płaczu i uśmiech sprowadza na rumianą buzię.

Co do złego humoru, pewnego rodzaju smutku i tęsknoty, nie pieszcząc dziecięcia można je rozweselić, wynaleść mu jakie nowe zajęcie, lub opowiedzieć mu jaką ładną i zajmującą bajeczkę.

Nie należy jednak nigdy łajać lub karać małej istoty, za taką chwilową tęsknotę—srogość rzadko kiedy pomaga, należy ją zostawić na wypadki wyjątkowe—gdyż często użyta, przestanie zbawienny wpływ wywierać. Lepiej daleko postępować łagodnie; pamiętajcie rodzice, że każdy człowiek, wielki czy mały, biedny czy zamożny ma swoje chwile smutku, tak nazywane „czarne godziny.“ Wy sami, którzyście srogo dotychczas z dziećmi postępowali, więcej bezwątpienia, niż inni śmiertelnicy, pod wpływem złego humoru zostajecie, zatem bądźcie pobłażliwemi dla dzieci waszych.

Dziecię płacze częstokroć ze strachu. Pozwólcie mi moje zdanie szczerze wyjawić w tym względzie. Z natury swej, człowiek niczego się nie lęka, bojaźń więc jest skutkiem wpływu postronnego. Wpływ ten tak na pozór skuteczny w dzieciństwie, a szkodliwy w dalszem życiu, wywierają na dziecko, matki i niańki, opowiadając mu, o babach i dziadach z torbami, o kominiarzach i czarnych ludziach, którzy czatują na niegrzeczne dzieci, zabierają je do torby i wynoszą z domu. „Słuchaj, mówi niańka, przyjdzie czarny człowiek, lub baba z koszykiem, i wezmą cię z sobą, jeżeli się w tej chwili nie uspokoisz!“ I na potwierdzenie swych słów pukają do drzwi, lub pod stołem, a dziecię prawdziwie przestraszone ucieka i chowa główkę na waszych kolanach. I cóżeście zyskali na tem? Skoro dziś zaczęliście straszyć, to samo trzeba będzie robić jutro, pojutrze, a w końcu ciągle. I to jeszcze pożądanego skutku nie odniesie; gdyż dziecię wasze, widząc, że czarny człowiek, lub baba, nie zjawiają się, przestaje wierzyć w owe strachy, spostrzega, że pukanie, nie pochodzi z za drzwi, ale, że to matka, lub niańka puka i wtedy obracając broń przeciwko wam, samo w złości zaczyna was straszyć, na was pukać pod stołem i grożąc paluszkiem woła: „*bu, bu*“ a wy się cieszycie, że dziecko takie mądre.

Niedługo potrwa to zachwycenie, jeżeli się dobrze zastanowicie nad skutkami podobnego postępowania. Najprzód pierwszym z nich, jest zachwiana wiara w prawdziwość słów waszych. Jakże chcecie matki, żeby dzieci słowom waszym ufały, jeżeli dla zapobieżenia nieposłuszeństwu, lub kaprysom, bezpotrzebnie je zwodzicie? Dziecię małe, wprawdzie nie zda sobie sprawy z podobnego uczucia, przyszedłszy jednak do wieku, w którym zaczyna się nad wszystkiem zastanawiać, bezwątpienia w duszy swej, tak myśleć będzie: „Mama mię tyle razy straszyła dziadem, lub czarnym człowiekiem, który się nie pokazał, że najprawdopodobniej, następstwa złe moich postępków, są też urojeniami, wymyślonemi dla strachu; nie wierzę temu co mi mówią!“

Oto jest owoc waszego postępowania; nie mówiąc nawet o tem, że poniżającem jest dla was samych uciekać się do wpływów postronnych jak gdybyście sobie nie ufały, iż wasz wpływ może być dla dziecka dostatecznym.

A pamiętajcie, że wiara raz stracona, niczem się nie da powrócić. I jakże często dzieci oszukujecie, sami się nad tem nie zastanawiając. Naprzykład potrzebujecie wyjść, dziecko chce iść z wami, płacze, i napiera się. Dla uspokojenia go, niańka wynosi je do drugiego pokoju, z obietnicą cukierków, lub ładnych zabawek; dziecię ufne w prawdę słów waszych, idzie chętnie, aż okazuje się, że tam żadnych łakoci nie ma i dla uniknienia powtórnego krzyku opowiadają mu, że lokaj, lub kucharka, pokryjomu cukierki zabrali. Raz się to uda, ale dziecię będzie miało zawsze zarodek nieufności ku wam.

W tej, tak ważnej epoce swego życia, dziecko patrzy na wszystko przez oczy matki, lubi to, co ona pochwali, lęka się też tego jedynie, do czego matka wstręt mu okaże. Z tego więc powodu, należy dawać baczną uwagę na najmniejsze drobnostki. Dziecię dopóty się bawi z myszką dopóki matka mu nie powie, że mysz może ukąsić, lub z obrzydzeniem się do tego zwierzątka nie odwróci.

Jeżeli krzyknie, z przerażeniem, na widok pająka, robaka lub innego jakiego zwierzęcia, dziecię od tego jednego razu nabiera wstrętu i strachu, dlatego, że matka się go lęka. Widzimy więc, że od matek zależy, ażeby ich dzieci były tchórzliwe, lub nie.

Pewien trzyletni chłopczyk, który od urodzenia niczego się nie lękał, otrzymał w podarunku książkę ilustrowaną z bajeczkami, i rozmaitemi powiastkami, o niegrzecznych dzieciach, których dziady, lub strachy zabierają do torby. Chłopczyk się cieszył ładną książką i opowiadał sam o powiastkach w niej zawartych, ku wielkiej radości rodziców, a uciesze domowych. Pewnego dnia, kiedy służąca myła drzwi i zmiatała na szafach, chłopczyk leżąc w łóżeczku przysłuchiwał się nieznanemu szelestowi. W tem drzwi się otworzyły, i długa postać kucharki, stojącej na krześle, pokazała się raptownie.—Co to jest? zapytał zdziwiony chłopczyk.—To stary Mikołaj, odpowiedziała zniecierpliwiona niańka, on tu przyjdzie, i wsadzi cię do kałamarza, dlatego, że spać nie chcesz! Dziecko się przelękło, i przestało bawić, a niańka uszczęśliwiona z tak dobrego pomysłu, za każdym razem go używała. Spostrzeżono jednak że od tego dnia, chłopczyk drżał za każdym niezwykłym szelestem. Matka, długo nad przyczyną takiej zmiany myślała, raptowne tchórzostwo syna, niepokoiło ją. W końcu odgadniono tajemnicę, najsurowszy jednak zakaz powtarzania podobnego sposobu, nic nie pomógł. Z dziecięcia zdrowego, silnego, zrobił się tchórzowaty, słaby, nerwowy chłopiec, który nietylko we dnie, ale i w nocy, przez sen, krzyczał, rzucał się i płakał. Zimne wanny i uspakajające lekarstwa, na niewiele się przydały.

O matki, pamiętajcie na to, że dzieci wasze, nie są zabawkami, ale ludźmi, należącymi, do społeczeństwa, i że za ich wychowanie, surowo odpowiecie przed Bogiem i ludźmi. Zastanówcie się nad tem, że dziatki wasze, uniknęłyby wielkiej ilości, chorób nerwowych, gorączek, nawet epilepsyi, jeślibyście je od zgubnego wpływu bon i nianiek ochraniały. Nie możecie pojąć, jakie straszne skutki pociąga za sobą każda wasza niedbałość w tym względzie.

ROZDZIAŁ IV.

Dzieci w towarzystwie starszych.

Kiedy przyjmujecie gości, najlepiej by było, żebyście szanowni czytelnicy dzieci wasze, do drugich pokojów odsyłali, bacząc na to, że rozmowy osób dorosłych, rzadko kiedy są korzystne, i budujące dla młodocianych umysłów. Niepodobna przerywać opowiadania gościa i dyktować mu o czem ma mówić, a co przemilczeć należy, dla zapobieżenia więc tym nieprzyjemnościom, najpraktyczniej jest dzieci usuwać do ich pokoju.

Nie uczcie ich nigdy inaczej witać osoby wysoko postawione, a znowu inaczej codziennych gości. Niech dziecko wasze nie spostrzega różnicy, w stanie i położeniu osób odwiedzających was, a przeciwnie, niech z tym samym uśmiechem wita robotnika, jak i największego pana. Inaczej wychowacie ich na ludzi skrytych, fałszywych i pełzających przed wyższymi.

Nie posyłajcie nigdy dzieci, na tak zwane bale dziecinne. W domu i ogrodzie dajcie im tyle swobody, ile tylko możność wasza na to pozwoli, nie usuwajcie ich od towarzystwa rówienników, ale nie przyjmujcie nigdy zaproszeń, na wieczorki gdzie małe panienki występują w świetnej tualecie krepowej, lub jedwabnej, gdzie krój sukienki balowej nie różni się niczem od stroju przez was w podobnych okazyach używanego. Tam małe panienki przyjeżdżają o godzinie 8-mej wieczorem, z główką uczesaną przez fryzyera, w białych rękawiczkach, atłasowych bucikach; a mali kawalerowie, w białych krawatach. Na podobnych zebraniach dają się pierwsze praktyczne lekcye kokieteryi, o której zadziwiającej często subtelności, matki śmiejąc się rozpowiadają — nie myśląc, że ziarno złego już rzucone zostało, i padając na grunt dobry, łatwo się przyjęło. Takie zebrania są bardzo zgubnemi, gdyż z wiekiem małych gości, rośnie też i przepych, służący w liberyach przynoszą zaproszenia, i formy etykiety nie są przepomniane.

(*D. c. n.*)

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dokończenie).

XIII. Zakończenie.

Miesiące minęły zanim młoda para przybyła do Stanów Zjednoczonych, gdzie ich z radością przyjęto oboje.

Jerzy początkowo miał zamiar oddać w ręce sprawiedliwości zdradzieckiego Boasa, który go owej nocy był sprzedał do załogi okrętowej. Później zaniechał tego, pomyślawszy, że nikczemnikowi temu właśnie zawdzięczał szczęście swoje, posiadanie Alicyi.

Pewnego razu przyszedł do niego dawny jego przyjaciel, Tom Fullerton, ten, z którym był spędził ów wieczór fatalny.

— Jerzy! zawołał, zaledwie przestąpiwszy próg, stary chłopcze—także wróciłeś szczęśliwie? Co tylko dowiedziałem się o twojem

przybyciu. Ciebie także zawlekli na okręt, co?

— Na okręt dążący na wieloryby, zaśmiał się Jerzy, serdecznie go ściskając za rękę— a ciebie?

— Na statek odchodzący do Indyi Wschodnich! odpowiedział Tom, pal ich kaci! — ale jestem już w domu od trzech miesięcy. Stanęliśmy w bliskości Rio Janeiro—i udało mi się stamtąd wyprawić list do naszego konsula na lądzie—ten ostatni uwolnił mię—jednak było to dyabelnie trudne—stary nie chciał mnie puścić. A gdzieś ty umknął?

— W Chili, wypłynąłem na ląd.

— Brawo. A czy wiesz, żeśmy złapali łotra?

— Jakiego łotra?

— Owego dziarskiego żeglarza, który nam wówczas nawarzył piwa.

— Doprawdy?

— Po powrocie nie miałem spokoju, rzekł Tom. „Sądy nie chciały wdać się w to, dopóki im nie dostarczę silniejszych dowodów, jak własne moje zeznanie. Włóczyłem się przeto nadbrzegiem cały tydzień z kilku przebranymi policyantami, zanim wytropiliśmy go. Wpadł w łapkę, tak samo, jak my w nią wpadliśmy wówczas. Nie poznał mnie naturalnie. Sądził, że natrafił na *zielonych*, których mu łatwo będzie wytransportować—pozostawialiśmy go w złudzeniu i pozwalaliśmy mu przyrządzać grok—potem ujęliśmy go. Przy chemicznym rozbiorze groku okazało się, że ten zawierał jakąś mięszaninę opium i innych trucizn narkotycznych. W skutek tego naturalnie wtrącony został do więzienia i—ze względu na moję skargę, że sprzedał mnie i ciebie na okręty—wysłany na pięć lat do domu kary w Ling-Sing.—Ale czy to prawda, że z drogi przywiozłeś sobie żonę?

— Tak jest, Tom—żoneczkę kochaną i serdeczną.

— A to wiesz, że twoja Jenny wyszła za mąż do Valparaiso?

— Byłem tam u niej.

— Do dyabła! zimno jakoś bierzesz te rzeczy.

— Co robić, Tom—a co z tobą się dzieje?

— Ze mną? hm—dyabelnie mało! Podobało mi się w Rio Janeiro — myślę się tam przenieść.

— Dziwna rzecz—zdaje się jakoby ów łotr wytknął każdemu z nas cel w życiu.

— Być może—ale pomimo to siedzieć musi; na to bestya po tysiąckroć zasłużył. Czy pójdziesz dziś wieczór do klubu?

— Nie jestem już członkiem — milej spędzam wieczory w domu.

— Hallo, pod pantoflem?

— Z całego serca ci życzę, Tom, abyś kiedyś tak samo się dostał pod pantofel, jak ja— rzekł Jerzy życzliwie — nie wiem czegoby ci życzyć lepszego.

* * *

Trzy lata minęło od owego czasu. Pan Halay starszy, z powodu nadwątlonego zdrowia, zupełnie zaprzestał się zajmować interesami, któremi obecnie bez ograniczenia zarządzał sam Jerzy.

Pewnego poranku znajdował się w kantorze swoim i tylko co był odebrał listy z Valparaiso, z którym to portem teraz w bezustannej i podwójnej zostawał korespondencyi. Jeden list był od Burtona, który oddawna już był poprowadził do ołtarza ukochaną przez siebie sennoritę i porzucił karyerę dyplomatyczną, dlatego, że czuł się nierównie szczęśliwszym i niezależniejszym w prześlicznej swej posiadłości niedaleko Concepcion. Drugi list był od pana Hewes. Donosił w nim, jak szczęśliwym jest teraz ze swoją Jenny i jak bardzo zmieniła swoje postępowanie od czasu spotkania Jerzego w Valparaiso.

Jerzy czytał i odczytywał ten list, a blask szczęścia i spokoju rozlany był w jego rysach.

W tem wszedł jeden z kantorzystów z jakąś zbrudzoną kartką w ręku i z doniesieniem: że chłopak okrętowy oddał ten papier i czeka na odpowiedź.

Jerzy wziął kartkę i na pierwszy rzut oka poznał w niej przekaz, który przed laty był dał staremu kucharzowi na pokładzie Betsy-Crow.

— Czy jest i sam stary?—zawołał prędko.

— Stary?—Nie, sir—jest tam chłopiec, który wygląda na żeglarza — kazano mu czekać na odpowiedź.

— Niech wejdzie.

Natychmiast wszedł chłopak, którego Jerzy poznał od razu—był to chłopiec z okrętu Betsy-Crow. Ale chłopak naturalnie ani się domyślał kogo ma przed sobą. Zakłopotany wybełkotał:

Beg your pardon, Sir. Nasz kucharz dał mi ten papier i kazał stąd przynieść dziesięć dolarów. Nie chciałem się tego podjąć—ale zapewnił mnie, że wszystko jest w porządku— a nawet obiecał dolara za drogę—zresztą nic nie wiem.

— Czy tu przybył wasz okręt?

— Co za okręt, sir?

— Betsy-Crow.

Chłopak zrobił wielkie oczy. Skądżeby gentleman wiedział, że on należał do Betsy-Crow? Zdziwiony odpowiedział:

— Nie, sir.—Betsy-Crow leży na piaskach niedaleko Brazylii, jeśli go dotąd nie rozerwało morze.

— Rozbity, naprawdę?

— Tak, kiedy wracał i to ze świetnym łupem. Załoga ocaliła zaledwie swoje manatki i księgi okrętowe, my zaś wszyscy przybyliśmy tu na okręcie amerykańskim.

— A gdzie jest wasz kucharz?

Chłopiec zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, ale w końcu nie chcąc skłamać, rzekł:

— Na ulicy, sir—on—powiedział, że nie radby więj wejść do kantoru — kazał mi pójść i przynieść odpowiedź. Nie dostaliśmy ani centa; dopiero po wypłaceniu asekuracyi dadzą nam może cokolwiek.

— Mr Robinson — rzekł Jerzy do jednego z kantorzystów—proszę, wyjdź pan na ulicę z tym chłopcem. Pokaże panu żeglarza, któremu chciej powiedzieć, że go proszę tu do siebie. Dodaj pan przytem, że interes przeszedł teraz w inne ręce—rozumiesz mnie pan? i że dłużnik jego tu się znajduje. Jak się nazywa wasz kucharz, chłopcze?

— Doktór—odrzekł chłopiec — bo innego nie znał nazwiska.

Jerzy zaśmiał się.

— Oto chłopcze masz twego dolara za drogę, żebyś wiedział, że wszystko jest w porządku i że *Doktór* mówił prawdę. Teraz zaś przyszlij go do mnie i powiedz że mam dobrą nowinę dla niego a może i dla ciebie—zaczekaj przed domem.

Chłopak ze zdziwieniem oglądał dolara; *All right, sir* i wybiegł tak prędko, że kantorzysta zaledwie był w stanie podążyć za nim.

Dosyć długa chwila upłynęła, zanim Jerzy, który tymczasem niecierpliwie chodził po kantorze, usłyszał kilka obcych głosów na schodach. Wreszcie pan Robinson stanął we drzwiach i zameldował żeglarza. W kilka sekund potem wszedł kucharz tak samo zdziczały i brudny jak go był Jerzy poznał na pokładzie. Zatrzymał się przy drzwiach. Wszystko tu wyglądało tak pięknie i po pańsku, wszystkie sprzęty mahoniowe, podłogi wyłożone dywanami, a wszędzie tak pełno kantorzystów, że nie śmiał postąpić dalej. Obracał kapelusz w ręku i czekał aż go pan domu zagadnie pierwszy.

Jerzy wlepił weń wzrok swój, ta brudna, uniżona postać wywołała w duszy jego tysiące wspomnień przeróżnych. Ale kucharz nie poznał go; zaledwie odważył się spojrzeć na niego, niespokojnie rozglądając się po kantorze.

— Jak się nazywacie przyjacielu—pytał go Jerzy.

— Hm! odrzekł kucharz, który niespodziewał się takiego pytania—z drugiej jednak strony pomyślał sobie, że może śmiało wymienić nazwisko swoje, gdyż nowy pan pewno nic nie wie o nim—dodał więc ochrypłym głosem:

— Rob Mitchell.

— Do jakiego okrętu należycie?

— *Shipwrecked sailor, sir* [1]) odpowiedział kucharz—należałem dawniej do okrętu *Betsy-Crow* z *Marthas oine yard.* Byłem kucharzem na pokładzie, sir.

— Pożyczyliście tam kiedyś jednemu z majtków dziesięć dolarów?

— Tak jest, sir—biedak nie miał pieniędzy a chciał wybiedz na ląd.

— Czyście nigdy potem nie słyszeli o nim?

— Nigdy potem, sir—włóczyliśmy się też potem więcej jak trzy lata po oceanie południowym — niepodobna było abyśmy się tam z nim spotkali. Wówczas tylko dał mi kartkę i powiedział, że jak powrócę do Nowego Jorku, mam ją tu oddać w kantorze, sir. Zdaje się, że teraz tu nowy pan, choć jeszcze dawna firma nade drzwiami.

— Tak, Mr Mitchell — rzekł Jerzy, a kucharz ze zdziwieniem patrzył się na niego. Widać niezwykłem mu się wydawało, że go ktoś nazwał po nazwisku—interes teraz przeszedł w moje ręce, ale i my jesteśmy starymi znajomymi i powinieneś mnie pan poznać.

Kucharz patrzył się na niego zdumiony i badawczo — nakoniec potrząsnął głową i rzekł:

— Zdajesz mi się pan znajomym, tak, kiedy słyszę głos — ale nie mogę sobie przypomnieć. Może pan dawniej już był tu w kantorze? ja—przychodziłem tu niekiedy...

— Nie, zaśmiał się Jerzy, kiedyś pan tu przychodził, ja uczęszczałem do szkoły—ale poznaliśmy się przed kilku laty dopiero—czy już nie znasz mnie pan?

— *Damnit!*—krzyknął żeglarz, zajrzawszy uważnie w twarz Jerzego—być może, ale niepodobna. Wszak nie jesteś pan...

— Jerzy—majtek z musu—ten sam, Mate, rzekł Jerzy z uśmiechem, wyciągając doń rękę i że nie zapomnę wam okazanej mi naówczas grzeczności, tego możecie być pewni.

— Ale jakimże sposobem u licha dostałeś się pan na pokład—rzekł kucharz zdziwiony.

— Z musu, rozumie się, a Boas, łotr—siedzi teraz w więzieniu—ale stało się. Jak widzicie, wypłynąłem wtedy szczęśliwie na ląd, a wszystko, com uważał sobie za nieszczęście, wyszło mi na szczęście i pociechę. Jakże wam się powodzi teraz?

— Mnie?—spytał znów kucharz zakłopotany, chwytając za kapelusz. Jakże się może wieść mnie i towarzyszom moim? Na okręcie dążącym na wieloryba, wszyscy do równego przychodzimy działu — skoro zaś okręt nasz rozbił się niedaleko Santa Catharina, nie mamy się czem dzielić. Kiedy się odbierze ubezpieczenie, dostaniemy może część z części naszej—w każdym razie bardzo niewiele, zanim bowiem właściciel okrętu i kapitan się nasycą —dla nas mało co zostanie.

— Jestem przecież dłużnikiem waszym.

— Co tam! o te kilka nędznych dolarów— rzekł kucharz, byłbym nawet nie upominał się wcale—gdyby nie bieda przeklęta.

---

[1]) Marynarz—rozbitek, panie.

— Wiele tam było, Mr Mitchell?

— Dziesięć dolarów—rzekł kucharz — jednego dałeś pan chłopcu, pozostaje dziewięć. Ale dlaczegóż nazywasz mnie pan Mr Mitchell?

— Cóż zamyślacie teraz?

— Postaram się naturalnie o miejsce kucharza na innym okręcie. — Nie mogę zostać na lądzie, a żyć trzeba.

— Mate—odrzekł Jerzy—zbliżywszy się do niego i położywszy mu rękę na ramieniu. Byliście wówczas jedynym przyjacielem moim na pokładzie, a prócz tego zdaje mi się, że pomimo szorstkiej powierzchowności zacnym jesteście człowiekiem. Oto macie sto dolarów, jako rewansz za usługę, którą wyświadczyliście mi wtedy, bo nie wiecie wcale, jak bardzo uszczęśliwiła mnie ówczesna ucieczka moja.

— Sto dolarów?—zawołał kucharz zdumiony, przypatrując się podanym sobie pieniądzom— wszak tyle nie dostałbym nawet z podziału na *Betsy-Crow*.

— Przyjmijcie te pieniądze — rzekł Jerzy życzliwie—sprawcie sobie przedewszystkiem nowe i czyste ubranie i—umyjcie się sami.— W takim stanie potrzebować was nie mogę; żaden z ludzi moich nie chciałby przestawać z wami, a nawet majtkowie nie mieliby uszanowania.

— Majtkowie?—powtórzył kucharz ze zdziwieniem.

— Nie pozwolę, byście pozostali kucharzem, ciągnął Jerzy dalej. Wiem wprawdzie, że pijecie zadużo, ale samiście mi powiedzieli, że możecie zaprzestać każdej chwili. Zrobię próbę z wami, Mitchell—dajcie mi rękę i słowo, że będziecie trzeźwi, — kiedy niekiedy kieliszek możecie wypić—na początek dam wam prześliczny okręt trójmasztowy odchodzący właśnie do Rio Janeiro. Czy zgoda?

Wyciągnął rękę ku niemu, a kucharz osłupiały patrzył mu się w oczy.

— Chcesz pan statek powierzyć *mnie*—rzekł głosem cichym i ochrypłym, *mnie*, który więcej jak dziesięć lat nie byłem u steru i wałęsałem się, jako kucharz na pokładzie? Mamże znów służyć dawnej firmie i znów stać się *człowiekiem?*

— Czy zgoda?

— Więc Bóg zapłać!—zawołał kucharz, silnie uderzając szeroką swą brudną ręką w dłoń młodzieńca—a przeklętą niech będzie ta kropla wódki, co mi przejdzie odtąd przez gardło! —Jerzy! dodał potem ze łzami w oczach, wróciliście mnie światu; niechaj wam to Bóg wynagrodzi—ale daję wam słowo, żeście się nie pomylili, pokładając we mnie zaufanie.

— Dobrze, Mitchell—szepnął Jerzy—teraz idźcie i poprawcie *zewnętrznego* swego człowieka, bo, jak mi się zdaje, *wewnętrzny* już jest poprawiony, o to zaś głównie chodziło, reszta jest drobnostką. Potem wrócicie do mnie, żeby razem udać się na statek—ale jeszcze jedno—chłopak, któregoście mi przysłali wprzódy, jest dobrym malcem—możecie go przyjąć, jeśli zechce.

— On ze mną pójdzie przez ogień i wodę.

— Dobrze—skończona rzecz—dziś po obiedzie o czwartej bądźcie tu. Do widzenia, kapitanie!

Kucharz ujął go za rękę i tak ją ściskał, tak się nią pieścił, jakby jej wcale puścić nie miał zamiaru, jakby miał serce na języku. Wkońcu odwrócił się—nie powiedział ani słowa więcej—i wyprostowany, z silnie zaciśniętemi zębami, żeby *pisarze* nie widzieli, jak w nim wszystko wrzało—wyszedł na ulicę.

* * *

I znów przeminęły lata, a interes Halaya wciąż kwitł i rozwijał się. Okręty jego przerzynały morza wszystkie i miały stosunki ze wszystkiemi częściami świata. Największym z nich *Alice Halay* zwanym, mającym tysiąc pięćset beczek ładunku, dowodził Mr Robert Mitchell. Żaden kapitan amerykańskiej floty handlowej nie odbywał tak szczęśliwych podróży i nie miał tak ustalonej sławy dzielnego marynarza i człowieka honoru — jak on. Kiedykolwiek przybył do Nowego Jorku, pokój dla niego w domu Halaya, zawsze był na pogotowiu — na wieść zaś o każdorazowem przybyciu kapitana Mitchel, najwięcej radowały się dzieci Halaya — dwie parki przecudne. A miały dzieci dosyć powodu do radości, bo starzec nigdy nie przyjechał, żeby im czego nie przywieść z dalekich krain, a co im prócz tego naopowiadał, jak z niemi się bawił — to była przyjemność nie do wypowiedzenia.

K O N I E C.

ROZMAITOŚCI.

— Staraniem cesarza Austryackiego, ma być założone w Peszcie **Muzeum węgierskie.** Wszystkie przedmioty węgierskiego pochodzenia, nagromadzone po różnych kątach austro-węgierskiej monarchii, mają być zebrane i pomieszczone w nowem Muzeum, które ma być własnością panującej w Węgrzech rodziny.

Lucyan Siemieński obrany został na r. b. dyrektorem wydziału filologicznego Krakowskiej Akademii Umiejętności, a to na miejsce p. Mecherzyńskiego, na własne żądanie usuwającego się z tego stanowiska.

— W Londynie zawiązało się **Stowarzyszenie w celu budowania domów,** dla rzemieślników, wyrobników i t. p. Wybrano plac w zachodniej części miasta, na którym postanowiono wybudować około 2,000 domów, mogących wygodnie pomieścić 16,000 mieszkańców. Jak widzimy, będzie to całe miasto, które posiadać będzie swój park, czytelnie, pralnie i t. p. zakłady, urządzeniem których zajęło się pomienione towarzystwo. Wszystkie ulice, których ilość ma dochodzić do 120, będą wysadzone drzewami. Wynajmujący mieszkania, po pewnym przeciągu czasu, staną się ich właścicielami. Do tej pory zgłosiło się 2,000 rodzin, życzących sobie zamieszkać w tem nowem mieście.

— **Henryk Wieniawski,** znany skrzypek, mianowany został profesorem belgijskiego muzycznego konserwatoryum, na miejsce Vieuxtemps'a.

— Pan d'Ennery, przerobił dla teatru Porte St. Martin, znaną powieść J. Vernego: „**Podróż na około świata w 80 dniach**“ na sztukę sceniczną. Jako dzieło dramatyczne, praca ta nie ma żadnej wartości, jednak świetnemi dekoracyami, takie zyskała sobie powodzenie, iż dyrektor teatru Porte St. Martin, zawarł umowę z p. d'Ennery, o wyłączne dostarczanie sztuk tego rodzaju dla wspomnionego teatru.

— Litolff jest republikańskim kompozytorem,—pomimo, iż ex-cesarz Napoleon III zaszczycał go swoją przyjaźnią, wszędzie gdzie mógł, pakował marsyliankę. Na koncercie danym 10 b. m. w paryskiem Frascati, między innemi numerami programu była wykonaną wspaniała uwertura: „**Ostatnie dni Żyrondystów**“, kończąca się początkowemi taktami marsylianki. Republikanie nie szczędzili oznak zadowolenia, monarchiści zaś również energicznie objawili swoje niezadowolenie, skutkiem czego przyszło do zaburzenia, któremu koniec położyła policya, aresztując kilkanaście osób.

— W dniu 5 stycznia miało miejsce inauguracyjne przedstawienie w **Nowej Operze paryskiej.** Publika oddawna oczekująca tej uroczystości, od miesiąca zakupiła bilety na to widowisko. Tymczasem doznała srogiego zawodu, albowiem tylko wybrani przez p. Cumont, ministra oświecenia, dostąpili zaszczytu przestąpić po raz pierwszy progi nowej świątyni sztuki. Wybranymi, byli prócz władz francuskich, wliczając w to rozumie się marszałka prezydenta i 200 członków zgromadzenia narodowego, wszyscy najznakomitsi goście Paryża, obecnie w nim przebywający, lub w tym celu umyślnie zaproszeni. Lecz i ci doznali zawodu, gdyż zamiast przedstawienia początkowo projektowanego i już nawet wypróbowanego, złożonego z ustępów Hamleta, Fausta, Żydówki, Niemej z Portici, Wilhelma Tela, musieli wysłuchać, w przeddzień przedstawienia zmienionego programu, i ograniczyć się Żydówką, Wilhelmem Tellem, Niemą z Portici, Poświęceniem broni z Hugonotów i aktem baletu „La Source“. Zmianę tę spowodował grymas pani Nilson, która na ostatnią próbę przysłała świadectwo doktora, iż jest chorą i nie wie, kiedy będzie mogła wystąpić. Tym sposobem oklaski dawane dłoniami znakomitych gości, zbierała panna Kraus, której głos w olbrzymiej sali nietylko nic nie stracił, ale nawet jeszcze wspanialej się wydał. Drugie przedstawienie, a pierwsze dla zwykłych śmiertelników danem było 8 stycznia; wykonano na niem Żydówkę. Ceny miejsc w Nowej operze nie są zbyt wygórowane, i tylko wyjątek stanowili wysocy goście, którzy musieli zapłacić, odpowiednio swemu wysokiemu stanowisku dość wysokie ceny.

—W Pradze Czeskiej przedstawiono w dniu 13 b. m. **Rabagasa,** W. Sardau, co wywołało demonstracyą przeciwko Staro-Czechom. Widowisko zostało przerwanem na czas jakiś, aż policya nie uciszyła hałaśliwych objawów.

—W końcu XIX wieku **ludność Londynu,** prawdopodobnie wynosić będzie około 5 milionów. Według wyrachowania statystów, jeżeli powiększanie się ludności Londynu w XX wieku będzie miało ten sam stosunek co w bieżącym, to w roku 2,000, Londyn będzie liczył 25 milionów mieszkańców.

— Pan Langlois wydał pierwszy tom **Korespondencyi Proudhona.** Korespondencye Proudhona są arcydziełem w swoim rodzaju. Najgłębsze uczucia, najwznioślejsze pojęcia o ideale, zdrowe zapatrywanie się na rzeczywistość i sądzenie jej bez wszelkich złudzeń marzycielskich, są traktowane w korespondencyach Proudhona z taką łatwością, swobodą, prawdą i natchnieniem nieraz prawie proroczem, iż nadają tej książce wartość dzieła talentu i inteligencyi. Smutne, ale niestety dziś urzeczywistnione były owe przepowiednie Proudhona, o przyszłym losie Francyi. Proudhon, zastanawiając się nad współczesnym stanem swojego społeczeństwa, nad przejawiającym się we wszystkiem upadkiem duchowym i moralnym, wyprowadzał wnioski, które w trzydzieści parę lat sprawdziły się, że nie powiemy litera w literę. Było to jakby wieszcze przeczucie. Nienawidził Paryża, zowiąc go zawsze nowym Babilonem, ze wstrętem pisał o jego zbytku, rozkoszach i zepsuciu. Przepowiednie Proudhona w części się sprawdziły, mianowicie zaś miejsce w którem mówi o oderwaniu od Francyi Alzacyi i przyłączeniu jej do Niemiec, ale jest jeszcze jedna przepowiednia, w której przejęty zgrozą autor woła: „Paryż zniszczonym będzie nim wejdzie jutrzenka XX wieku“!...

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**